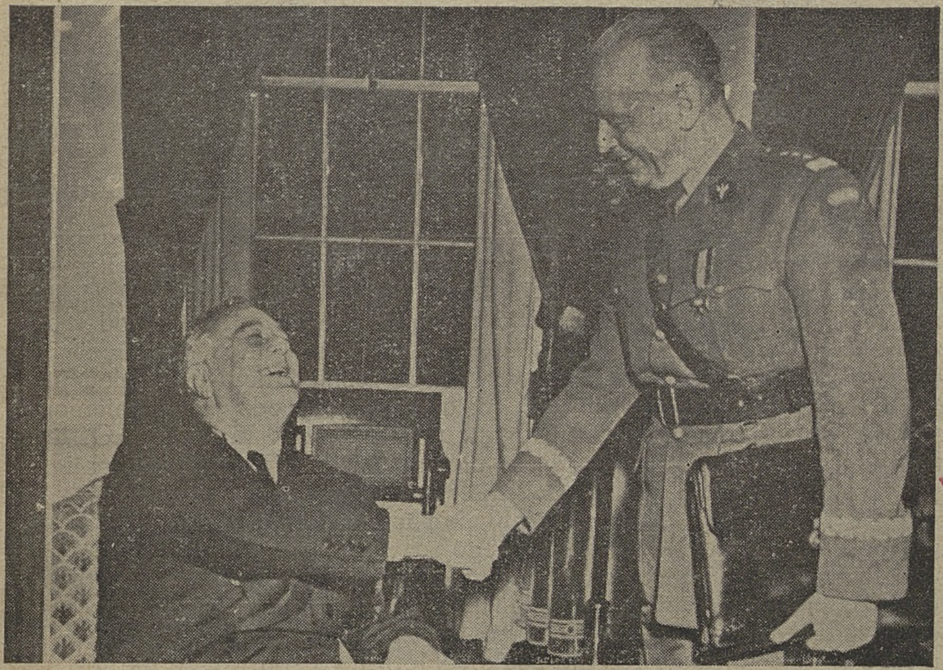
NUMER SPECJALNY

RZECZPOSPOLITA POLSKA

NUMER POŚWIĘCONY RZĄDOWI, ARMII I EMIGRACJI

PREZYDENT ROOSEVELT I GENERAŁ SIKORSKI



Możemy być całkowicie pewni jednomyślności w popieraniu naszego stanowiska przez Rząd i społeczeństwo Stanów Zjednoczonych.

Sikorski

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ

jest rządem powołanym zgodnie z postanowieniami konstytucji, jest rządem, którego legalności żaden z krajów zjednoczonych ani nawet żaden z krajów neutralnych nie może zakwestionować i nie zakwestionował. Nie czerpie on swej władzy z uznania obcych, ale z naszych własnych, polskich praw zasadniczych. Należy do nich również i jedność, jaka nas do walki o nasze prawo do wolnego życia złączyła, jedność, której przykład tak imponujący dajecie Wy w kraju. Jedność tę powinniśmy rozszerzać i pogłębiać, gdyż nie tylko stanowi ona o naszej sile nazewnątrz, ale jest i podstawą, na której budować będziemy lepsze życie w wyzwolonej po wojnie Ojczyźnie.

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ
PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKEJ

DALECY, LECZ BLISCY...

Wojna rozrzuciła Polaków po wszystkich niemal częściach kuli ziemskiej. Rząd Polski musiał rezydować we Francji, by następnie znaleźć się na Wyspie Brytyjskiej. To oddalenie ośrodka dyspozycyjnego od kraju, oderwanie się od Polski znacznej części inteligencji dawały wszelkie powody ku temu, by przypuszczać, że nasze życie zbiorowe rozwijać się będzie dwu — a może kilkutorowo. Cztery prawie lata oddalenia od kraju, czwarty rok rozwoju w innych, niż w kraju, warunkach mogły zrobić swoje. Dążąc do jednego celu, mogliśmy widzieć różnie, mogliśmy mieć inne środki realizacji niepodległości. Istniała obawa, że odżyją w zmienionej formie spory orientacyjne. I nic by w tym dziwnego nie było. Ośrodki emigracji zwykle w krótkim czasie ulegają zakażeniu „chorobą emigracyjną", spowodowaną brakiem normalnego wyżycia się instynktów społecznych i nostalgią. Życie w kraju pod najbrutalniejszą okupacją, również nie daje warunków dla normalnego rozwoju.

Tymczasem jednak obawy nie ziściły się. Poza nielicznymi grupkami ludzi, którzy zawsze mają obiekcje i zastrzeżenia, cały kraj w pełni podporządkował się Rządowi Polskiemu w Londynie. Emigracja bez względu na swój stosunek do Rządu, zdaje sobie z tego sprawę, że nie jest całym Narodem Polskim, a tylko jego częścią, że wszystkie jej poczynania swe źródło muszą mieć w Kraju. Zarówno też Kraj jak i Emigrację obowiązuje czynna walka z wrogiem i w przygotowaniu do ostatecznej rozgrywki wszyscy wspólnie biorą udział, jako organizatorzy i członkowie Polskich Sił Zbrojnych w Kraju i na Obczyźnie. To oddanie gros swych sił w walce zbrojnej o wyzwolenie jest z jednej strony czynnikiem wiążącym Kraj z Emigracją, z drugiej zaś cementuje Polaków w Kraju i zapobiega chorobliwemu rozbiciu sił emigracji i wyładowywaniu się w „potępieńczych swarach".

Zarówno też Kraj jak i Emigracja odczuwają wspólnie wielką odpowiedzialność ciążącą na nas w tej chwili. Odpowiedzialność za przyszłe losy Polski, za to, co w tej chwili dla tej przyszłości zrobić zdołamy. Trafnie ujął tę rzecz przewódca emigracyjny P. P. S. Mastek, podkreślając, że Kraj m. in. zapyta kiedyś: Co zrobiliśmy na emigracji, aby uwolnić Polskę od wroga?

Odpowiadając na te pytania — pisze Mastek: „Nikt nie ukryje prawdy o swej działalności na emigracji pod płaszczykiem kłamstwa, czy zdawkowego frazesu patriotycznego. Polska tak ciężko doświadczona wojną, Polska, która znosi tak okrutne cierpienia... wyda wyrok nieomylny. Godnych swych synów przywita z radością, a niegodnym wymierzy karę, na jaką zasłużyli".

I nawzajem. Tu, w kraju też każdy wie, że podobne rachunki wystawić będzie musiał Ojczyźnie. I to poczucie odpowiedzialności łączy odłam emigracyjny z nami w kraju, będąc jeszcze jednym symbolem naszej jedności i tego, że nie licytujemy się w zasługach, lecz w poczuciu odpowiedzialności za spełnienie swych najprostszych i najświętszych obowiązków.

Może być, że obopólnie zbyt realistycznie podchodzimy do sprawy. Ale przecież Ojczyzny nie odrodzą nasze najbardziej nawet czyste łzy. Na wolność zasługują tylko ci, którzy spełniają swe obowiązki, aż do przelania krwi włącznie. Z tego też będziemy zdawali rachunek, a nie z rozlanych łez. Nie pora też na roztkliwianie się wzajemne, że wy tam zdala od kraju, albo — wy znów w Kraju tak cierpicie, a my tu zdala musimy na to patrzeć. To sytuacji nie zmieni. Jedni i drudzy, nie bierzemy przecież lekcji cierpliwości, lecz zdajemy egzamin ze swej dojrzałości politycznej.

Nauczyliśmy się też oceniać sytuację. Wiemy, czego możemy się domagać od Rządu. Rozumiemy, że nikt nas nie będzie wtajemniczał w sposoby wygrania wojny, w środki dojścia do celu, bo ujawnienie tego byłoby wodą na młyn naszych wrogów. To, że Anglia i Stany Zjednoczone nie porzuciły nas za cenę zyskania potężnego sojusznika — Rosji, mówi dobitnie o stanowisku Polski w obozie narodów zjednoczonych i jest zapowiedzią dalszego pomyślnego dla nas rozwoju sytuacji. A wszystko to nie „spadło nam z nieba", ale zostało przygotowane, zdobyte przez polityka i żołnierza. Wierzymy, że Rząd nasz lepiej od nas zna drogi prowadzące do celu i nie ulegamy nastrojom chwili, podobnie jak i w roku 1939 wierzyliśmy, że przegrana kampania to nie „finis Poloniae". To wszystko razem sprawia, iż dla nas w kraju jesteście bliscy, choć dzieli nas przestrzeń daleka. Emigracja nie oddaliła się od Polski, a Polska od emigracji. Rząd jest autorytetem dla Kraju, Kraj autorytetem dla Rządu. Poza odległością nic nas nie dzieli. A odległości w dzisiejszych czasach zmniejszają się szybko i nagle.

* * *

POWRÓT DO POLSKI

Przeszło 3,5 miliona Polaków opuściło kraj. Olbrzymia ich większość — to wywiezieni przymusowo przez Niemców i bolszewików. Reszta — to uchodźcy, których wypadki wojenne lub chęć walki z wrogiem zmusiły do wyjścia z Polski.

2,5 miliona jeńców i deportowanych z Polski na roboty — to nowa „emigracja" w Niemczech. Prawie milion wywieźli bolszewicy. Około 70 tysięcy Polaków jest w krajach okupowanych przez „oś", 3 tysiące w krajach neutralnych, 40 tysięcy na Środkowym Wschodzie, 16 tysięcy w Ameryce, 9 tysięcy w Afryce i 5 tysięcy w Wielkiej Brytanii. Cyfry te dotyczą tylko ludności cywilnej polskiej i nie uwzględniają wojska polskiego.

Oczywiście, olbrzymia część, to i ci, co zostali w Rosji i ci, którzy pracują jako niewolnicy w Rzeszy niemieckiej — to ludzie, którzy wróciwszy do kraju, przez długi jeszcze czas będą wracać do normalnego życia. Wielu z nich w ogóle nie wróci, wielu powita Polska jako inwalidów i kaleki, wielu złamią zupełnie straszliwe warunki życia. Dla nich powrót do kraju będzie przejściem dla złożenia kości na własnej ziemi. Wrócą jako świadectwa strasznych przeżyć, świadectwa barbarzyństwa, które w wieku naszym przeszło przez Europę, żywe świadectwo zbrodni popełnianych na ciele naszego narodu.

Wrócą i ci, którzy poprzez lata tułaczki przeszli zwycięsko. Dane im było brać czynny udział w życiu, pracować i walczyć na całym świecie dla kraju. Wrócą nie tylko zdrowi i silni, lecz i wzbogaceni o wiele doświadczeniem lat tułaczych. Być może, że daleka droga da im dalekie spojrzenia, otworzy nowe horyzonty. Być może, że w świetle porównań, które mają możność robić, potrafią zdobyć się na właściwszą ocenę Polski i Jej zadań, aniżeli ją dotąd miał przeciętny Polak.

W tych krajach, gdzie emigracja nasza znalazła tylko ludzkie warunki życia, okazała się zbiorowiskiem ludzi zdrowych, umiejących żyć i walczyć. Postawa naszej emigracji, a w szczególności postawa polskiego żołnierza za granicą jest taka, że wzbudza gorącą sympatię nie tylko dla jednostek, ale i dla dalekiego ich kraju, dla Polski. Po przez czyny naszego wojska i emigracji patrzy na nas świat, który bezpośrednio z naszą emigracją żyje. Zna ją nie tak jak Kraj Polski z opisów czy komunikatów, ale z życia codziennego. Emigracja jest ambasadorem Polski Walczącej, Polski, dla której nie ma innych celów, jak tylko jedno: pobić wroga i wywalczyć wolność. Ta możność bezpośredniego zetknięcia się z Polakami, jako żołnierzami i przewódcami Polski, ma dla nas olbrzymie znaczenie. Dotychczas bowiem emigrant polski był człowiekiem, którego z kraju wypędził brak chleba. Szedł szukać innej ojczyzny. Emigracja opierała się na ludziach, w których, niezależnie od innych przyczyn, tkwiło piętno krzywdy osobistej. Bo za krzywdę osobistą uważał mało uświadomiony człowiek, nieraz półanalfabeta lub analfabeta, to, że nie stworzono mu we własnej ojczyźnie warunków dla lepszego życia. Rzucony w wir obcego środowiska człowiek taki miał do wyboru, albo dać się zasymilować, albo też kontynuować swe życie na dawną skalę z tym, że stając poza nawiasem nowego środowiska słabnie jeszcze bardziej i staje się jego wyrzutkiem. Prawie cała nasza emigracja, otwarcie powiedzmy, zdołała się podciągnąć do warunków nowych środowisk, zachowała wprawdzie jakieś bliżej nieokreślone uczucie do tego dawnego kraju, jednak odpadła od masy narodowej polskiej. Poza mgiełką sentymentu do kraju lat dziecinnych, może do krajobrazu polskiego, nic w niej nie zostało. Zresztą są to koleje losu wszystkich emigracyj: polskiej, niemieckiej, irlandzkiej, czeskiej. Wchłania ich białe, pokrewne rasowo środowisko. Japończyka i Chińczyka zachowuje dla kraju niemożność fizycznego i psychicznego zasymilowania się z białym środowiskiem.

Takie są losy wszystkich emigracyj „za chlebem".

W tym momencie nie poszukują jednak Polacy chleba na świecie. Nie przyjęli więc postawy ostatniej emigracji. Nie są również ową emigracją paryską, która również nie szukała w świecie chleba. Bo ta emigracja nie miała żadnych środków dla realizacji swych marzeń — musiała więc gnić w tych marzeniach. Teraz na emigracji jest Rząd i Wojsko. Druga część wojska czeka w pogotowiu w Kraju. I jest ten kraj, który codziennie melduje, że żyje, walczy i czeka, czeka na ostateczny rozkaz.

Inny więc musi być rezonans takiej emigracji za granicą. Nie tylko nie zostaje ona wchłonięta i stracona dla narodu, lecz przeciwnie, jest jego żywym reprezentantem wobec obcych i wobec tych, którzy od Polski odeszli kiedyś dla chleba. Taka emigracja całkowicie wróci. I jej powrót musi

Polsce przynieść jeszcze inne korzyści. Plon życia tej emigracji, musi dać Polsce wielu prawdziwych i szczerych przyjaciół. Musi też obudzić w sercach tych, którzy jeszcze mają ową mgiełkę polskości, świadomość ich związku z narodem polskim. Być może, z nich już nikt nie wróci. Ale niech przynajmniej Polska będzie dla niego nie tylko wspomnieniem polskiego krajobrazu, nie tylko legendą jego rodziny. Niech będzie rzeczywistą Polską, krajem żywym, który obok jego nowej ojczyzny jest mu drugą ojczyzną.

Być może, ż. pan Balcer mógł się wstydzić kiedyś kurnej Polski, choć w duszy do niej tęsknił. Niech dziś dzięki nowej tymczasowej emigracji odsetek tysięcy Polaków, syn czy wnuk pana Balcera odkryje i pokocha Polskę Walczącą i tę, którą dziś walczący jutro będą budować. Wtedy z pewnością miliony Polaków związanych tylo-ma węzłami z Nowym Światem, staną się dla swej Ojczyzny prawdziwą pomocą i siłą.

Z tymi powinni wrócić, ci, którym dane było walczyć o Polskę za granicą.

LISTY POLAKÓW Z ROSJI

Polacy w Rosji stanowią najsilniejszą grupę, jaka w rezultacie tej wojny znalazła się poza granicami Ojczyzny. Najsilniejszą nie tylko liczbą. Przeszli przez mękę wysiedleń, zepchnięci zostali w ostatnią nędzę, patrzeć musieli jak z wyczerpania, poniewierki i tęsknoty najbliżsi mrą zdala od kraju. I nagle po tych przeżyciach nad miarę ciężkich stanęli przed perspektywą wyjazdu z Rosji. Zostały podjęte stosunki dyplomatyczne polsko-rosyjskie. Ambasada nasza w Kujbyszewie rozpoczęła swoją działalność opiekuńczą. (I z tego okresu pochodzą listy, o których mowa jest niżej). Dziś z całej tej pracy nie ma już śladu. Rosja zerwała stosunki z Polską i zlikwidowała opiekę. Stało się jednak to nie na długo, tak chcemy wierzyć. Polska nigdy nie wyrzeknie się swoich praw zasadniczych. Naczelny Wódz powiedział: „Rząd polski apeluje o zwolnienie wszystkich Polaków pozostałych w Rosji. Zastrzega on sobie prawo do występowania w sprawie tej przed światem". (dop. Red.).

Koperty — własnej fabrykacji: kartka wydarta z zeszytu, sklejona wymyślnie, często z ostrzeżeniem przy adresie: „Otwierać ostrożnie — tekst listu na odwrocie". Papier listowy, jakże daleki od Smyrtsonowskich błękitów z Bond Street! — po prostu strzęp niezapisany, wolna strona rejestru z liniaturą i rosyjskimi napisami, przestrzeń niezadrukowana na odwrocie odezwy lub karty tytułowej propagandowej broszury. Karta pocztowa — tekturka z pokrywki pudełka, przycięta odpowiednio.

Cenny jest każdy skrawek papieru. Jan Zawada z „posiółka Ozerki, Jaboryńskiego rejonu, Swerdłowskiej Oblasti", próbujący mową wiązaną odtworzyć przeżycia długich miesięcy wygnania, pisze swe wiersze „na brzozie, bo o papier bardzo trudno", a list kreśli na „kartkach wydartych z zeszytu, wyproszonych po posiółku".

Listy pisze się tam wolno, starannie, z oszczędnością miejsca i słowa. Tekst musi być zwięzły i jasny. Z maleńkiej karteczki wyłania się jednak piszący, umiejscowiony w polskim wczoraj Wilnie, Czortkowie



Dzieci polskie po opuszczeniu Rosji.

czy Krzemieńcu, w szkole czy urzędzie, a dziś — pracownik „rudnika" czy „kożzawodu" w Czeljabińskiej czy Semipałatyńskiej Oblasti. I meritum sprawy: w tym wypadku w garści listów, które mamy przed oczyma — prośba o nadsyłanie czasopisma „Polska", wydawanego przez Ambasadę Polską w Kujbyszewie.

Piszący znają i rozumieją dobrze trudności, z jakimi boryka się wydawca pisma. Nie marzą więc o luksusie posiadania czasopisma dla siebie, na własność. Proszą — w imieniu gromad polskich, liczących często ponad sto osób a rozrzuconych po stepie lub w tajdze — o jeden egzemplarz pisma. Czasem pojawia się nieśmiała prośba o dwa: można by je wtedy udostępnić łatwiej czytelnikom, naklejając na ścianę...

Zupełny brak książek polskich zaostrzył do niebywałych granic głód słowa drukowanego w ojczystym języku. Jeden z korespondentów tak opisuje moment otrzymania pierwszego numeru „Polski":

„W smutny zimowy dzień siedzieliśmy w uralskim posiółku Promysły. Na drewnianych pryczach dzieci rozkładały swoje marne zabawki, a starsi leniwie przeciągając się, wspominali przeszłość. Była niedziela. Na żelaznym piecyku kipiał bak wody i jakby z ironią trzaskało w piecu suche drzewo, jedyny produkt, którego tu jest „w dowol". Wtem weszła kobieta-listonosz, w ręku trzyma gazetę. „Piotr Cz. — jest taki?" — „Jest". Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, Piotr wziął gazetę w rękę i — „Polska" — wrzasnął. — „Tak, naprawdę, oczy mnie nie mylą". — W oczach kobiet pojawiły się łzy, a dzieci ciekawie patrzały i czekały, co będzie dalej, czy przypadkiem ktoś nie powie: — „Już wnet pojedziem do domu — do Polski".

Pismo przechodzi z rąk do rąk. Czyta się je głośno. Dzieci przypominają sobie znaki alfabetu łacińskiego, od którego oczy ich, karmione na codzień obcą graždanką, odwykły niemal zupełnie. Brak przecież — nawet elementarzy...

„Dzieci rosną samopas, pozbawione szkoły, a nawet tego cennego elementu wychowawczego, jakim jest książka" — stwierdza ze smutkiem nauczycielka z Wileńszczyzny. Łakną jednak słowa polskiego ponad wszelkie wyobrażenie, a „wszystkie wierszyki, zamieszczone w gazetach, wypisują na rozmaitych szpargałach (z braku papieru) i chowają na pamiątkę".

Prośba o książki i gazety przebija się ponad wołania o pomoc materialną. „Jest to dla nas najdroższy dar, największa „zapomoga", jaką nam mogą władze nasze stworzyć i dostarczyć" — pisze jeden z uchodźców. Pismo polskie — pisze inny — „jest dla nas jakby latarnią morską, dokąd my, rozbitkowie tymczasowi kierujemy swe spojrzenia".

Kilkunastoletni Jan Nagórny, który w r. 1939 ukończył drugą klasę gimnazjum w Polsce, pisze z Kazakstanu do Ambasady długi list z prośbą o przysyłanie mu pism polskich. Podanie jego, które żywo zainteresuje każdego językoznawcę ze względu na swoistą mieszaninę języka polskiej biurokracji z naleciałościami sowieckimi — brzmi następująco: „Po zawarciu porozumienia z Rządem Radzieckim zwróciłem się do Ambasady z prośbą o nadesłanie mnie gazet. Prośbę moją Ambasada wypełniła i wypełnia, nadsyłając mnie kolejne numery „Polski". Z radością uznałem, że Ambasada udziela młodzieży polskiej za pośrednictwem swych delegatów pomoc kulturalną... Polska kultura po tych dwu latach jest dla młodzieńca rzeczą pierwszej wagi". — Prosi przeto o przysłanie pisma: „Ja ze swej strony — oświadcza dalej — jestem gotów cokolwiek naszej odzieży zlikwidować i za pismo zapłacić, jeżeli o to tylko się rozchodzi".

Leśniczy Jedliczka przesyła z Krasnouralska 3 ruble na prenumeratę pisma, donosząc równocześnie o krytycznym położeniu, w jakim się znalazł z żoną wobec niemożności uzyskania pracy z powodu podeszłego wieku: „nie mając środków do życia wyprzedaliśmy bardzo wiele rzeczy, a za ostatnie już obrączki ślubne nabyliśmy trochę chleba i mąki i koniec chyba...".

„Ubywa nas coraz więcej z wycieńczenia. Smutne mieliśmy święta wielkanocne w tym roku — pisze p. Olga Bogdanowiczowa. — Umierała jedna z naszych pań, Wanda Szajnowa (zmarła dn. 7.IV r. b.) — wdowa po naczelniku sądu, gorąca patriotka. Dwóch synów oficerów w niewoli niemieckiej, ją wywieźli z córką. Podtrzymywała nas na duchu stale i tak prędko zgasła, przyszła grypa i wycieńczony do niemożliwości organizm nie wytrzymał. Poza tym nie mieliśmy czym ratować, ani lekarstw, ani czegoś posilnego do odżywienia. Tak strasznie śmierć ta nas przygnębiła. — Do kraju! do kraju! nie zostawcie mnie tutaj — wołała już cichym głosem".

W jednej z ferm w Urdżarskim rejonie znajdowało się 50 Polaków — dwunastu spośród nich zmarło w ciągu dwu lat pobytu... Z wiersza Jana Zawady wyłania się wstrząsający tragizmem obraz:

„... las dookoła długi i szeroki
i bracia za posiółkiem leżący pokotem.
Aż mi strach żyły mrozi tak ich jest tam dużo,
jakbyśmy tu w posiółku już sto lat mieszkali,
śpią snem wiecznym, spokojni, zmęczeni podróżą".

U starszych ponad wszystko wybija się uczucie zmęczenia i bezradności:

„... jedna nas tu bieda zagnała w te strony
i jedno nas nieszczęście pozbawiło chleba,
niczem się nie różnimy, bracie mój rodzony,
wszyscy tu wyglądamy pomocy od Nieba".

Młodsze pokolenie reaguje inaczej. Rwie się do wojska, do życia, do czynnej pracy dla Ojczyzny.

„Ojczyzna! — pisze Stanisław Zarzewski — Słowo, którego nigdy dawniej nie wymawiałem, bo frazeologia, panująca u nas przed wojną, uczyniła je patetycznym. Dziś po dwu i pół latach tułaczki i cierpień wyraża coś, o czym się myśleć nie przestaje, bez czego żyć nie warto.

Ojczyzna — czyli grunt, z którego człowiek korzeniami wyrasta. Ojczyzna — na tle której i dzięki której człowiek czymś jest, coś znaczy.

Ojczyzna — poprzez którą jedynie ma się jakieś perspektywy życiowe, bez której można w prawdzie zarobić na chleb, ale nie można prowadzić żadnej działalności, będącej zarazem rozwojem sił twórczych człowieka.

Ojczyzna — która może być tylko jedna, jak jedna jest matka i jedna prawda, jak jeden jest Bóg dla wierzących, jak jedna jest miłość prawdziwa".

„Tym jest Ojczyzna. Nic dla mnie wielkiego poza granicami Ojczyzny — to niewątpliwa prawda życia, do której doszedłem. Bo na co zda się mi np. powodzenie takie czy inne w Ameryce, czy Chinach, Rosji, czy gdziekolwiek, jeżeli wszystko, czegokolwiek się tam dotknę, jest mi obce, przejściowe, jeżeli myślę o Polsce tylko, jeżeli myślę o Niej — marzeniem".

Sens ma jedno tylko: służba czynna dla sprawy ojczystej. A więc Armia. Rwą się do niej we wspaniałym porywie wszyscy: i zdolni do broni, i ci, którzy w listach starają się zbagatelizować ogniska w płucach i niedawno przebyty tyfus i wyniszczenie lat tułaczki, byle się dostać do szeregów: mężczyźni, kobiety, młodzież.

„Jesteśmy obywatelami polskimi i za wszelką cenę pragniemy wstąpić do szeregów armii i iść w bój za wolność Ojczyzny. Prosimy i n i e u s t a n i e m y prosić o zaliczenie do polskiej armii". Jak najprędzej! Z listów przebija straszliwe zmęczenie czekaniem, świadomość, że od udziału w wysiłku zbrojnym nikt nie ma prawa się uchylać i żarliwe pragnienie dorwania się do czołgu czy samolotu w prawdziwym polskim wojsku. Chowali w tobołkach, chronili przed deszczem i wilgocią polskie książeczki wojskowe — dziś chcieliby je ożywić, uczynić na nowo jedynym swym dowodem, jedyną legitymacją godną każdego zdolnego do noszenia broni Polaka.

Ten temat wypełnia większość listów i jest ich treścią najistotniejszą, piękną i dumną, jak spojrzenie symbolu ich wszystkich — „Polaka w Rosji" z rysunku Topolskiego.

„POLSKA WALCZĄCA".

DZIŚ oczekujemy od rządu Z. S. R. R. wypuszczenia dziesiątków tysięcy żołnierzy polskich, dzieci, kobiet i mężczyzn, zdolnych do noszenia broni — prawa do opieki nad Polakami w Rosji, aż do chwili możliwości ich powrotu do oswobodzonego kraju. To wszystko, czego żądamy. Nie są to postulaty, naruszające jedność Sprzymierzonych. Istnieją bowiem granice ustępstw, których Naród Polski nigdy nie przekroczy...

Z przemówienia Naczelnego Wodza

POLSKIE SIŁY ZBROJNE na obczyźnie stanowią już dzisiaj piątą z kolei co do siły liczebnej armię wśród narodów sprzymierzonych. Obejmują one:

I. Korpus pancerno - motorowy w Wielkiej Brytanii. Stanowi on zespół najnowocześniejszych jednostek liniowych, pancernych, zmotoryzowanych i spadochronowych, oraz bogate kadry zapewniające dalszy rozwój wojska polskiego na kontynencie i w kraju.

II. Korpus pancerno - motorowy na Środkowym Wschodzie. Wchłonął on przede wszystkim Karpacką Brygadę Strzelecką, która wzięła wybitny udział w bohaterskiej obronie Tobruku i odznaczyła się chlubnie w bojach na pustyni libijskiej. W skład tej nowej jednostki weszła również kilkudziesięciotysięczna rzesza Polaków z Rosji.

Polskie Siły Lotnicze walczą u boku lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego, jako najpoważniejsza wśród reszty sprzymierzonych siła lotnicza. Mimo ponoszonych ciężkich strat uzupełniane są stale nowym personelem spośród żołnierzy innych broni, lotnikami przybywającymi z Rosji oraz ochotnikami z Ameryki Płn. i Płd.

Marynarka Wojenna współpracuje z Królewską Marynarką Brytyjską, rozbudowuje się i wzmacnia. Tu także trzeba wymienić Polską Flotę Handlową (prawie cały nasz tabor żeglugi morskiej, przybrzeżnej i holowników zdołaliśmy wyprowadzić z Bałtyku), która od początku wojny pracuje nieustannie na wszystkich morzach, pełniąc m. in. ciężką służbę w konwojach alianckich.

Naczelny Wódz w rozkazie nr. 18 podkreślił: „Odbudowane z niebywałym mozołem i trudem Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie — ten główny atut Polski za granicą — staje się siłą poważną".

WYLĄDUJĄ WSZĘDZIE

Rzut oka na koleje tej wojny wskazuje, że aczkolwiek oddziały spadochronowe są wojskiem młodym, jednak już dotychczas przypadły im w udziale niezmiernie doniosłe zadania. Na każdym kroku bierze się dziś w rachubę możliwość desantu powietrznego. Przewiduje się grozę zaskoczenia z powietrza w chwili najmniej oczekiwanej w punkcie najsłabszym. W zbliżającej się ofensywie Aliantów na Europę wojska spadochronowe odegrają rolę przemożną.

Względy wojskowe nie pozwalają na podanie szczegółowych danych cyfrowych, nie ulega jednak wątpliwości, że szkolenie spadochronowe na wyspach brytyjskich ma charakter masowy, i że jest prowadzone z wielkim rozmachem. Na równi z ulepszeniami technicznymi wzrosły umiejętności taktyczne dzięki bogatym doświadczeniom obecnej wojny.

Stany Zjednoczone po skromnych początkach przystąpiły jeszcze w ubiegłym roku do realizowania szerokiego programu w tej dziedzinie, zakrojonego na skalę prawdziwie amerykańską. Na podstawie zebranych materiałów amerykańscy fachowcy utrzymują, że spadochroniarze mogą zniszczyć stojące na lotnisku samoloty, w 1/10 tego czasu, jakiego potrzebowałaby piechota, i, że w ciągu pół godziny 12 spadochroniarzy jest w stanie zniszczyć system wodny miasta o 50 tysiącach mieszkańców.

Mało kto wie, że Polska w dziedzinie spadochroniarstwa miała też już wcale pokaźny dorobek. Od r. 1936 w Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej wychowankowie przechodzili przez kurs spadochronowy. W czasie ostatnich wielkich manewrów pod Łuckiem w 1938 r. przeprowadzono ćwiczenia spadochronowe, w więk-

A może to TWÓJ syn, brat lub mąż...



...wraca z lotu odwetowego na Berlin?

szym stylu. Wiele urządzeń pomocniczych o dużej wartości praktycznej było dziełem polskich konstruktorów (zwłaszcza sposób zrzucania działek ppanc., miotaczy płomieni i ckm'ów). Wieże do skoków spadochronowych stawiała po miastach LOPP, popularyzując nowy sport, który miał z nową „bronią" oswoić ludność i przygotować najlepszy dla niej materiał ludzki.

W r. 1941 Naczelny Wódz, gen. Sikorski ustanowił wielką polską jednostkę spadochronową w Wielkiej Brytanii. W utworzonym Polskim Ośrodku Spadochronowym odbywają ćwiczenia nie tylko Polacy, lecz i żołnierze Armii Sprzymierzonych; dotychczas gościli w nim Belgowie, Francuzi, Holendrzy, Norwegowie i Czesi. Piersi przeszkolonych spadochroniarzy, którzy odbyli przepisową liczbę skoków, zdobi specjalna odznaka w postaci pikującego orła. Polskie oddziały przeprowadziły już kilkakrotnie wielkie ćwiczenia, stanowiące próbę ich gotowości bojowej.

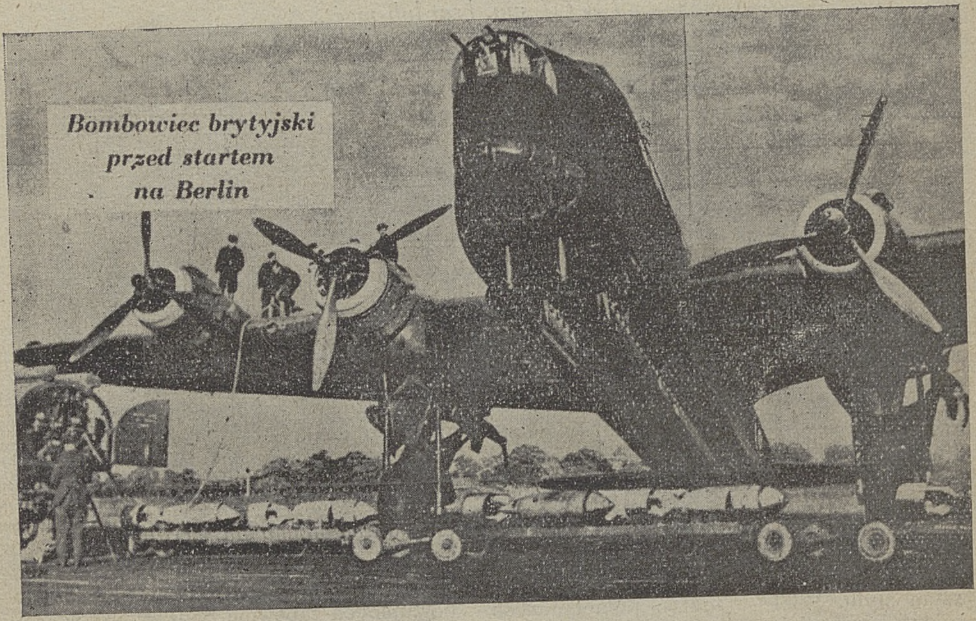
Skoczek skacze z samolotu, mając część broni i ekwipunku na sobie, część zaś w zrzucanych równocześnie spadochronach. Obecnie jest już możliwe zrzucanie przy pomocy spadochronów ciężkiego uzbrojenia, środków transportowych, materiałów wybuchowych i w ogóle wszelkich potrzebnych środków walki. Zrzuty mogą się odbywać na różnych terenach i to zarówno we dnie, jak i w nocy. Bezpieczeństwo samolotów transportujących zapewnia bądź osłona własnych myśliwców, bądź pora przelotu. Obok wojsk spadochronowych rozwijają się również ciężkie wojska desantu powietrznego. Są to oddziały, które przewozi się na szybowcach, holowanych przez samoloty transportowe, bądź też na specjalnych ciężkich samolotach, które lądują na lotniskach.

Spadochroniarze polscy używają spadochronów automatycznych, otwierających się bez pociągania za rączkę, w kilka chwil po wyskoku ze samolotu. Szelki są urządzone w taki sposób, że skoczek nie odczuwa żadnego szarpnięcia, a w czasie lotu siedzi sobie wygodnie jak w fotelu, świadomie regulując przebieg opadania. Stosuje się skoki bądź przez drzwi, bądź przez specjalny otwór w podłodze samolotu. Pułap skoku jest niski, co ma na celu skrócenie czasu lotu oraz jak największe skupienie lądującego oddziału w pobliżu wyznaczonego celu.

Spadochroniarze, żołnierze powietrza i ziemi zarazem, pracujcie, szkolcie się i doskonalcie — bo chwila odwetu niedaleka. Gdy wybije godzina sprawiedliwości dziejowej, wasze spadochrony zagrają cudownymi barwami, rozwijając się pysznie:

Nad Warszawą i Krakowem,
Poznaniem, Wilnem i Lwowem
niosąc Rodakom wyzwolenie.

(Kalendarzyk Polaka w Wielkiej Brytanii — 1943).



Z ulotek rozrzucanych nad Polską przez RAF

„303"

Lotnicy polscy mają swój udział w dziele ocalenia W. Brytanii podczas słynnej niemieckiej ofensywy powietrznej na jesień 1940 r. Rolę, jaką odegrali, zdobywając najwyższe uznanie władz angielskich, a przede wszystkim serca ludności, oddaje fragment z książki „Dywizjon 303" (tłum. na angielski), a napisanej przez A. Fiedlera.

Bitwa wre. Dzień w dzień wdzierają się na niebo Anglii niemieckie bombowce. Biją jak taranem w ów bastion, by go skruszyć i zburzyć. Niemcy są zdumieni: bastion wciąż się trzyma. Niemcy są wściekli: bastion nadal się broni.

W trzecim tygodniu Bitwy najeźdźcy stwierdzają, że jeszcze nie opanowali powietrza Anglii, więc zmieniają taktykę: całą swą powietrzną potęgę, cały napór swej Luftwaffe rzucają na jeden cel, brytyjskie myśliwstwo. Należy je raz na zawsze wyplenić z korzeniem. Przez pełne dwa tygodnie — pod koniec sierpnia i na początku września — bombowce ich szaleją przeciw angielskim lotniskom, podczas gdy niemieccy myśliwcy starają się wytępić przeciwnika w powietrzu.

W owym okresie, dnia 5 września, Dywizjon 303 odniósł chwalebne zwycięstwo. Na ogólną liczbę 39 niemieckich samolotów, strąconych tego dnia, zestrzelił osiem, sam ponosząc stratę tylko jednej maszyny, przyczem raniony myśliwiec ocalał.

Następny dzień, 6 września, w planach niemieckich miał być Sądnym Dniem dla myśliwstwa brytyjskiego i miał roznieść je całkowicie. Od samego rana Niemcy przybywali w jeszcze większej niż dotychczas liczbie i użyli nowego sposobu, nader niebezpiecznego dla obrońców Anglii: myśliwcy ich nie tylko towarzyszyli bombowcom jako osłona, lecz niezależnie od tychże zasiali całe niebo patrolującymi dwójkami, tworząc żywy pomost od brzegu Kanału daleko w głąb kraju.

— Niebo wyglądało jak akwarium z wieloma rybkami! — oświadczył później jeden z myśliwców, walczących tego dnia.

Dywizjon 303 wystartował o godzinie 8-mej minut 45 przed południem z 9-ciu maszynami. Radio z ziemi, jak zwykle, wyznaczało kierunek lotu, południowy wschód. Po przebyciu połowy drogi między Londynem a wybrzeżem myśliwcy zauważyli owe niepokojące zjawisko: niezliczone patrole Messerschmittów. Szły dwójkami bardzo wysoko, na pułapie nieosiągalnym dla Hurricanów. Niektóre z nich krążyły w jednym miejscu, inne, zataczając esy, posuwały się ku północy w głąb Anglii. Z ziemi nie było ich wcale widać na tej wysokości, natomiast obecność ich zdradzały białe smugi powietrzne, jakie samoloty pozostawiały za sobą. Na niebie, czystym jak kryształ, smug było coraz więcej i w końcu wyglądało to, jak gdyby niewidzialny pająk zarzucał na cały kraj olbrzymią, złowieszczą pajęczynę. Groźny pająk naprawdę gotował zasadzkę.

W pewnej chwili z tej białej zasłony wyłoniło się zgrupowanie niemieckich bombowców. Sunęło w kierunku na Londyn i właśnie mijało Polaków o jakie 2000 metrów na prawo. Miało za sobą osłonę z Messerschmittów, którą w tej chwili atakował dywizjon Spitfirów. Dogodna sposobność! Dowódca polskiego dywizjonu bez namysłu decyduje się na natarcie i zataczając skręt w prawo, rzuca się na pełnym gazie w stronę bombowców. Dywizjon cały idzie za nim.

Daleko nie zaszedł.

Z góry spadła szarańcza. Jak wściekłe psy gończe zleciały się nagle Messerschmitty z przodu, z tyłu, z boków. Z potrójną przewagą: wysokości, szybkości i słońca, w dodatku czwartej przewagi: przytłaczającej ilości — zaatakowały dziewięciu myśliwców. Atak był druzgocący. Zaraz na pierwszy ogień poszedł samolot majora Króla, dowódcy dywizjonu. Sam major, jeden z najznakomitszych myśliwców polskich, ciężko poparzony, ratował się spadochronem.

Gwałtowny atak Messerschmittów w tak dogodnych dla nich warunkach powinien był zniszczyć w pierwszym uderzeniu wszystkich dziewięciu myśliwców; zniszczył tylko jednego. Reszta wyrwała się karkołomnymi wywrotami z kleszczy i już w następnej sekundzie wytrąciła Niemcom ich przewagę zaskoczenia. Ich pociski biły w próżnię. Zawrzała walka. Związały się pojedynki. Powstał nieopisany chaos: Dywizjon 303 wyszczerzył swe zęby bojowego wygi i wysunął zadzierżyste pazury. Nie dał się sprzątnąć — od razu.

Porucznik Witur, na widok zbliżającego się żółtego pyska Messerschmitta, odruchowo ściąga drążek sterowy i ostro skręca samolot, aż w oczach mu ciemnieje. Przeszywa go bolesna świadomość, że w chwili tej słabości zestrzeli go nieprzyjaciel. Nie zestrzelił. Po odzyskaniu przytomności Witur widzi Messerschmitta przed sobą, nurkującego. Rzuca się na niego. Krążą do koła siebie raz, jeszcze raz. Coraz wężej, coraz drapieżniej. Za trzecią rundą Witur dociera do ogona przeciwnika i strzela z odległości 60 metrów. Pierwszy palący się Messerschmitt wypada z walki.

Sierżant Kar, mały, zawzięty Kar, kończy w międzyczasie drugiego Messerschmitta, a widząc poniżej trzy bombowce, Heinkle III, pikuje na nie, obsypując je gradem pocisków i maszynę z prawego boku strąca w płomieniach, — lecz w tej chwili, sam trafiony pociskiem armatki, ratuje się wywrotem. Raniony w nogę i udo, z potłuczonymi zegarami, z wyrwanym bokiem kabiny i poszarpanym skrzydłem, żałosny inwalida, jednak cało ląduje gdzieś na łąkach południowego Kentu. Zanim go rozchrupali, odgryzał się walecznie.

Sierżant Życz pędzi na pomoc Spitfirowi, który leci prosto, jakby nie wiedział o tym, że na ogonie siedzi mu Messerschmitt i grzeje do niego jak do tarczy. Życz dopada

---

W pierwszym nalocie 1.000 samolotów na Kolonię wzięły udział 102 bombowce polskie.

W ostatnim niszczycielskim nalocie na Dortmund uczestniczyli również Polacy.

LOTNICY POLSCY PŁACĄ JUŻ DZIŚ ZA KAŻDĄ ZBRODNIĘ NIEMIECKĄ!

Niemca, który po dwóch seriach wykręca się przez plecy, niby w kurczu, i z dymem wali w dół. O chwilę zapóźno: Spitfire również dymi, a pilot jego wyskakuje z kabiny.

Tymczasem z różnych stron nieba zlatują się wciąż nowe Messerschmitty. Prawdziwa zgraja głodnych szakali, węszących pewny żer. Wszystkie jak zapamiętałe pędzą w to jedno miejsce. Jest ich w końcu przeszło sto. Jest ich tak wiele, że w zgiełku przeszkadzają sobie samym. Hurricanów i Spitfirów, które jeszcze pozostały, nie stać już na normalną walkę. Wykonywują tylko same obronne uniki. Wykręcają się rozpaczliwie jak piskorze, lecz wysmykując się jednym, innym wpadają pod karabiny. Ale nawet w takich tarapatach nie tracą ducha.

Oto porucznikowi Oxowi, samemu ściganemu, nawija się na celownik lekkomyślny Messerschmitt jak wymarzony obraz. Dłuższa seria: czarne krzyże się palą. W powstałym zamieszaniu Ox pikuje kamieniem i szczęśliwie odrywa się od nieprzyjaciela. Gorzej powodzi się kapitanowi F. On także zwala jednego Messerschmitta, lecz sam rozstrzaskany, musi skakać ze spadochronem.

Minęło natężenie walki, dramat się kończy. Umknęły z pułapki ostatnie Hurricany i Spitfiry. W powietrzu pozostają same Messerschmitty, lecz i one, wyczerpane walką, czym prędzej wracają do Francji na resztkach paliwa.

Dywizjon 303 poniósł tego dnia dotkliwe straty: na dziewięć maszyn ma pięć zniszczonych, a czterech myśliwców jest rannych. Zabitych żadnych. Natomiast maszyn niemieckich dywizjon strącił siedem. Lecz nie w tym leży jego zwycięstwo: zasługą jego jest to, że w dniu, w którym Niemcy sądzili, że zadadzą ostateczny cios brytyjskiemu myśliwstwu, polski dywizjon, stawieniem hardego czoła i zaciekłym oporem, ściągnął na siebie większą część niemieckiego impetu i skierował go w próżnię. Dywizjon 303, po społu z dywizjonem Spitfirów, spełnił poniekąd rolę Winkelrieda. Niemieckie zamiary znów spaliły na panewce.

Niebo nad Anglią jest znów pogodne.

Dywizjon 303 otrzymał tego dnia od Naczelnego Wodza następujący list:

Londyn, dnia 6.9.1940.

Przekazuję eskadrze nr. 303 „gratulacje z powodu wspaniałego dnia walki". Życzenia te przesłał na moje ręce Minister Lotnictwa, p. Archibald Sinclair. Obok słów Jego Królewskiej Mości, zawartych w odpowiedzi Króla Jerzego VI-ego, skierowanych do Prezydenta Rzeczypospolitej, jest to drugie z kolei uznanie wielkich zalet bojowych, jakimi wyróżniają się lotnicy polscy. Walcząc od niedawna rycersko obok sławnych kolegów brytyjskich, poszczycić się już dzisiaj mogą poważnymi sukcesami. Ich czyny są jedyną, godną Polaka odpowiedzią na ostatnie kłamstwa niecnej propagandy niemieckiej.

NACZELNY WÓDZ:
(—) Sikorski.

PIEŚŃ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

Kraju znękany,
rwij, szarp kajdany
już niebo ci się smuży!
Obłoczki małe,
drobinki białe,
jak chmurek zwój po burzy...

Każda się spiętrza:
z srebrnego wnętrza
świetliście coś się roi,
rośnie i leci...
To Polski dzieci
broń niosą ziemi swojej.

Opadli, zbiegli,
piersią przylegli,
orężem jasnym świecą.
Ponad bruzdami
sieją kulami,
a ziemia im — fortecą.

Każde jej wzgórze
nam — jak przedmurze,
a grobem jest dla wroga...
Wrogów grabarze —
spadochroniarze,
pioruny w ręku Boga!

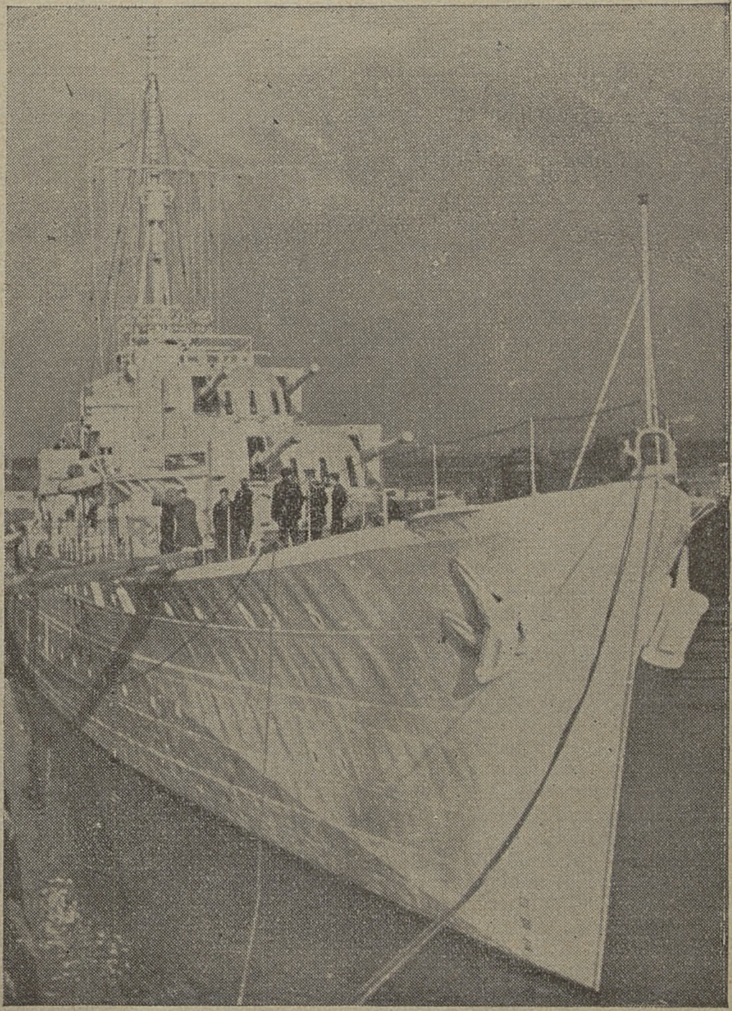
ANTONI BOGUSŁAWSKI
(„POLSKA WALCZĄCA")

MY Z GARLANDA...

W dn. 2 maja 1940 r. kontrtorpedowiec O. R. P. „Grom" zatonął pod Narvikiem w walce z samolotami niemieckimi. Załoga zdołała w walce zniszczyć niemiecką baterię nadbrzeżną i dała się we znaki okrętom niemieckim.

Już następnego dnia, w rocznicę Konstytucji 3 Maja, podniesiono banderę polską na nowym kontrtorpedowcu marynarki polskiej, O. R. P. „Gaerland". Okręt do tej pory dzielnie służy sprawie polskiej. „Gaerland" (wieniec) jest nazwą, którą nosił pewien angielski okręt wojenny już w r. 1942. Odtąd szereg okrętów angielskich, tę samą nazwę noszących, okryło się sławą i chwałą na morzach i oceanach. To też przejmując 3-go maja 1940 r. okręt JKMości „Gaerland" marynarka polska kurtuazyjnie nie zmieniła jego uświęconej tradycją nazwy i odtąd O. R. P. „Gaerland", jedyny z polskich okrętów nosi nazwę angielską.

Okręt brał udział w licznych bojach morskich, m. in. płynął w eskorcie wielkiego konwoju do Rosji. Cztery dni trwały naloty bombowców nieprzyjacielskich na konwój, falami po kilkadziesiąt maszyn. Równocześnie niemieckie okręty podwodne usiłowały za wszelką cenę nie dopuścić konwoju do portów rosyjskich. Niekiedy po 7 samolotów równocześnie unosiło się nad „Gaerlandem", rzucając bomby i ostrzeliwując go z kaemów.



Polski kontrtorpedowiec wyrusza na połów.

„Gaerland" nie opuścił jednak wyznaczonego mu stanowiska i mimo ciężkich uszkodzeń, mimo, że połowa prawie załogi zginęła lub odniosła rany, okręt nie przerwał walki, a nawet uszkodzony uganiał się za okrętami nieprzyjaciela. Dowódca eskadry nadał z krążownika słowny sygnał: „Cześć dzielnemu okrętowi „Gaerlandowi". (abj. Red).

(Paweł Grudka, operator filmowy Kierownictwa Marynarki Wojennej, został ciężko ranny w czasie nakręcania filmu na pokła-

dzie Garlanda w konwoju do Rosji w maju 1942).

Bo to było tak. Jechali my pełnym gazem kiedy widzę, że na konwój maszyny lecą i bomby rzucają. Wszedłem ja na reflektor — dobre miejsce żeby na wszystkie strony zdejmować — blacha tam gruba taka w koło mnie do pasa — a tu się z karabinem maszynowym kolega ustawia. Mówię do niego — idź stąd Józef (kolega on był jeszcze z Błyskawicy) zabierz te pukawkę — a on poczciwy nic nie gada — przeniósł się. Z drugiej zaraz strony była siedemdziesiątka piątka, przeciwlotnicza. Szykuję ja się do zdjęć, a tu taka mgła od przeciwnej strony okrętu idzie — taka sobie mgła może sto metrów szeroka, taki pas. Wyszli my z tej mgły, tak że teraz mgła między nami a konwojem. Ledwie my wyszli a tu patrzę maszyny na nas suną. Jedna, druga, trzy—pięć— niziutko, prosto na mnie — ledwie ja krzyknął „atakują nas", a tu jak nie łupnie seria raz po raz aż mnie na reflektor wetkało — klatkę piersiową mi do środka wgniotło — i odłamki ci lecą jak cholera i czuję, że we mnie jak w sito — w głowę, w rękę, w bok, i nic nie boli tylko w tym delikatnym miejscu, co Pan wie. Tylko pierwsze myślę, że światłomierz zepsuty, bo wisiał na piersi, chcę go wziąć, rękę z aparatem podnoszę — patrzę a tu krew wszędzie — krew na twarzy — z czoła leci — krew na piersi czuję — mokro wszędzie, od wybuchu z por wylazła — grzmocą ciągle — nasi strzelają, patrzę ja wbok, a tu po pokładzie krew płynie — tu ręka leży — tam głowa, gnaty jakieś, masakra. Chcę ja światłomierz wymacać, ale mi ręka nie idzie — nagle się sama w drugą stronę odchyla — patrzę ja z łokcia krew bucha, kości gołe sterczą. Wychylił ja się do tyłu — czuję, że już nie ustoję — chcę jeszcze filmować, bo maszyna na nas idzie, maszynę tę w wizjerze prowadzę, krew mi oczy zasłania — maszyna buch do wody — zestrzelili sukinsyna — ale już nie mogę — patrzę, gdzie aparat rzucić — patrzę za siebie, kable tam takie, — gumowe grube leżeli — co to elektrykę z brzegu na okręt dają — wypuścił ja delikatnie aparat na te kable i sam stać nie mogę — krew się leje wszędzie — z ust, z nosa, z usz. Przewracam się. Leżę ja, a tu jakiś do mnie skacze — toniemy woła — i korek mi na głowę przez tę dziurawą rękę pcha — pasa ja na sobie nie miał — wisiał obok, przestrzelili go, powietrze uciekło, ja się z tym korkiem na szyi gramolę — patrzę co jest — para leci, bo kanał przecięło — idź ty głupi, paniki nie rób, do niego wołam, bo okręt prosto idzie, nie toniem, tylko para ucieka. I zaczynam ja pomalutku iść do rufy — dopiero wtedy zobaczyłem — iść ślisko, bo krew wszędzie i gnaty — tu głowa — tam flaki — dwie obsługi działa wybite — jednemu obie nogi oberwało — jedna jeszcze wisi — dwadzieścia minut żył, ale jeszcze przed śmiercią raz strzelił.

Posuwam się dalej aż tu patrzę kolega serdeczny leży, Władek, z nim przed samym nalotem w karty grałem, siedemnaście szylingów byłem winien. Niemcy grę przerwali. Nie zdążyłem mu oddać — teraz on tu, trup, gęba krzywa. Pochylam się nad nim — moja krew na niego kapie — poznaję go, strasznie mi się zrobiło — myślę sobie te siedemnaście szylingów dam na cel — już ja sobie taki specjalny cel umyślił.

Idę teraz na rufę — pod hydrostatyczne bomby — tam już dużo takich leży jak ja — lepiej tam, bo jak trafi, bomby pójdą, ani się obejrzym w kawałki rozerwie, w wodzie się męczyć nie trzeba. Więc pod temi bombami ja się położył — bo już nie mogę. Krew mi jedno oko zalała — leżę ja, zimno, co oko prawe otworzę — w jedne stronę patrzę — leżą około mnie straszne pocharatane cielska, krew leci, widok opisać trudno.

Patrzę ja, jeden pół boku ma rozerwane, leży i nic nie stęka tylko śpiewa. Słucham co śpiewa — a on — UMARŁ MACIEK UMARŁ I LEŻY NA DESCE — JAK BY MU ZAGRALI ZATAŃCZYŁBY JESZCZE— i znowu — UMARŁ MACIEK U... i tak jakoś zaburczał Uuu... i patrzę na niego, nie żyje.

W drugą stronę patrzę na morze — Niemiec statki atakuje, że tego zdjąć nie można — widzę jak jednego handlowca trafił całą serią — amunicja musiała być — błysnęło i dym poszedł i prawie w 5 sekund statek w wodzie. Przychodzi do mnie porucznik — nic mu nie było a dobrze bo już chłop swoją ranę w 1920 miał, pół tyłka ma wyrwane, podchodzi do mnie porucznik, poznał, mało nie zapłacze — Pawełku woła, synku mój, nie umieraj — i cofa się, tak się zląkł. A ja do niego — Panie (nawet już „poruczniku" nie powiedziałem) — chodź Pan, pomóż. A on — co Ci synku pomóc — woła — wszystko Ci przyniosę, co chcesz? — więc ja — kielicha — powiadam i taka chętka mnie na wiski zebrała, że aż. Przyszedł, przyniósł, pełna szklanka wiski, piję — gorąc taki po mnie idzie, dobrze się robi, — ani nic nie boli — pół szklanki wypiłem —— chcę więcej ale myślę sobie — wypiję wszystko to się zaleję, jeszcze głupstw narobię — rękę tę sobie oberwę albo co, skakać zacznę i po pijanemu będę chciał aparat szukać i kręcić. Więcem się wstrzymał i tak w tej lewej ręce szklankę trzymam — patrzę, szkoda mi — innym bym dał ale nie mogę, wiski z krwią zmieszana bo mi z gęby ciekło — więc jak

się nie zamachnę i ryms tą szklanką o żelazne łańcuchy, szkło w kawałki poszło.

Lekarz był anioł nie człowiek. Jak on w tym wszystkim głowy nie tracił, latał w tę i w tę — tylko nogi i ręce gdzie trzeba obcinał. Przychodzi do mnie — a Pan Grudka — powiada — co Panu — ja tylko przez zęby — ręka — powiadam (ledwie mówić mogłem). Więc mnie wziął do messy — tam pod stołem krew, nogi, ręce obcięte. Położyli mnie na stole, mundur porozcinali, sanitariusz mi gazę na nos pcha, chloroformem kapie. Ale sam był ranny sanitariusz, ręka mu się trzęsie w tę i we wtę zamiast na nos na oczy mi i do ust leje — łamago, do niego wołam, co robisz — nalało mi się do oka, do ust, piecze jak cholera. A co gorsze wódka swoje robi — ani rusz nie chcę usnąć tylko mi tak wesoło, że aż śpiewam — słyszę inni się śmieją ze mnie — aż mnie złość zebrała — tu bomby lecą — trupy i śmierć wszędzie, a oni śmiać się chcą. Brzydko wszystkich zrugałem — a tu się głos odzywa. — A, to Grudka, no jak się wam zdjęcia udały? Kapitan M.... to był, leżał z poszarpaną nogą, na operację czeka. A to i pan kapitan tutaj — powiadam — zdjęcia w porządku, najważniejsze, że Pana Kapitana mam na zdjęciu. Bo go rzeczywiście poprzedniego dnia na Leickę złapałem jak jabłko jadł, nic nie wiedział. Sam ten moment jak gęba otwarta i jabłko wsuwa.

Ale doktór do mnie — no co Panie Grudka — co będzie — ranni czekają a Pan pod chloroformem mi nie zasypia. Co mam robić? Rób Pan co trzeba — mówię — ale jakoś mi się słabiej robi i zasypiam. Kość mi sterczącą obłamał, co trzeba zrobił. Wzięli mnie na pomieszczenie. Ale okręt cały dziurawy. Wszędzie te odłamki szły — i gdzie doleci znowu wybucha — nowe jakieś bomby czy co — nad wodą jeszcze wybuchły — bo wcale pokładu nie zalało. Przyszedł chirurg Anglik bo go nam doktór na pomoc zawołał — przyjechał z dru-

PAMIĘTAJMY:

Polska Marynarka Wojenna, od dnia 1 września 1939 r. ani na chwilę nie przestała walczyć. Kierownictwo naszej floty wysłało trzy najnowocześniejsze kontrtorpedowce do W. Brytanii. Dwa okręty podwodne przedarły się po zakończeniu walk na Bałtyku. Te jednostki stały się ośrodkiem dzisiejszej siły morskiej Polski.

Mimo bolesne straty, jakie poniosła nasza flota na Bałtyku w pierwszych dniach wojny i innych morzach świata w trakcie dalszych walk, obecnie ilość naszych okrętów wojennych jest o 1/3 większa, niż w momencie wybuchu wojny.

Polska flota wojenna (dn. 1.I.43 r.)
Zatopiła lub uszkodziła 31 okrętów nieprzyjaciela;
Zestrzeliła 93 samoloty;
Przepłynęła milion km. po morzach i oceanach świata, tropiąc okręty wroga lub eskortując konwoje;
Walczyła w Gdyni, na Helu, pod Narvikiem, Dunkierką, Calais, pod Dieppe, Na Morzu Polarnym i wodach Afryki Północnej.

Biało-czerwona bandera Rzeczypospolitej, powiewająca na tylu morzach, najwymowniej manifestuje przed narodami świata niezachwianą wolę Polaków do walki i zwycięstwa, jak również nieprzerwaną suwerenność Państwa Polskiego.

Szczupły personel Polskiej Marynarki Wojennej otrzymał w tej wojnie: 23 krzyże Virtuti Militari, 651 Krzyżów Walecznych, 32 odznaczenia brytyjskie i 5 francuskich.

Równie chwalebną rolę odgrywają okręty naszej Marynarki Handlowej, służąc sprawie wojny z niezwykłym poświęceniem swoich załóg.

giego okrętu — na pokład wchodzi — patrzy, krew, gnaty, trupy — zemdlał. Ocucili go, wzięli do messy żeby w amputacjach pomagał — wszedł — patrży kadłub na stole, znów mięsa kawały, rzeźnia, bo nie było czasu sprzątać — znowu zemdlał — tylko potem co mniej rannych opatrywał.

Ale obrona była fest — gdzie przy dziale pozabijani — zaraz inni przyszli — trupy wyrzucili, rannych odsunęli, sami dalej do Niemców strzelać. Atak trwał 4 godziny.

Potem już spokojniej było tylko stukasy nas męczyli. U nas dziur było ze dwieście — do niektórych pomieszczeń woda się dostała, ale Garland nie zatonął. Kotkę my mieli taką i małe cztery kociaki miała. Postawili dla niej pudełko blaszane — nałożyli szmat, piasku — kociaki były dwa bure, dwa szare — po 3 tygodnie stare jak się nalot zaczął. Woda się tam dostała — pudełko pływać zaczęło — wchodzą koledzy do pomieszczenia a tu patrzą pudełko pływa a kotka nic tylko cały czas pudełkiem balansuje, żeby się nie zatopiło. Jak pudełko zabrali — kotka małe w zębach pod piec zaniosła, bo mokre były. Bawił ja się z niemi potem na łóżku. Żyją kociaki, tylko jednego potem gdzieś w przejściu rozdeptali.

Przyjechali my do Murmańska, wzięli nas do szpitala. W tym Murmańsku to się już niektórym nerwy całkiem zepsuły. 6 nalotów w dzień, 4 w nocy, bomby walą i szpital się trzęsie. Trzeba było widzieć jak te kadłuby bez rąk i nóg z łóżek się zwlekali — jak to po schodach pędziło na złamanie karku — jak bomby gwizdały. Chłopak tam jeden był, Amerykan, 16-letni — bez rąk bez nóg. Trzy tygodnie w life-boacie na Północy pływał, odmroził sobie, aż go bolszewicy wyłowili. Chirurg był w tym szpitalu — pułkownik — ten ani na chwilę pracować nie przestał — kraje nogi, ręce, brzuchy — Rosjan, naszych, Anglików, Amerykan. Co się zmęczy to na chwilę na korytarz wyjdzie — tam już taki stał co miał dla niego papierosa zapalonego — dał mu raz — dwa pociągnąć i znowu doktór krajać idzie — ręce całe we krwi. A tu bomby lecą.

A ja tu jednego dnia patrzę — ręka mi się czarna robi i puchnie — gorączka 40,6 — trzy dni tak było — aż ten pułkownik przychodzi patrzy — niedobrze powiada, rękę trzeba w łokciu obciąć. Biorą mnie na stół — w nocy to było — nalot właśnie i hotel gdzie nasz doktór stał trafiło, więc w kalesonach do szpitala przyleciał, żeby się przespać. Przychodzi a tu mu powiadają, że Grudkę będą amputować. Idzie na salę — powiada Moskalowi (a dobrze się po rosyjsku nauczył) — nie obcinaj Pan, spróbuj co ja radzę — kość odsunąć, ranę rozerwać, niech ropa spłynie. Narkozy mi dać nie mogą — gorączka taka — tobym nie wytrzymał — więc Moskal tylko się spojrzał — kazał siostrze za głowę mnie trzymać — noża wziął i rozcina. Ślepia jak mi z głowy wylazły — jakem się zerwał — siostra aż na szafę odleciała. Ładna była dziewczyna, przeprosiłem ją na drugi dzień, na imię Tamara. I powiadam — nie dam się za głowę trzymać — jak nie chcesz zastrzyku dać, to kraj. I krajał. Ropy pociekło jak z garnka i na drugi dzień gorączka 37,6 i nasz doktór przychodzi — no, Grudka — powiada — ręka uratowana.

W tej Rosji dobrze ja się przypatrzył. Głód tam jak nic. Rano dawali herbatę z ziółek chleba kawałek czarny i twardy ani ugryźć. Na obiad kaszę czarną w miednicy przynosili, wieczorem kawę z żołędzi. Ale spirit u nich pierwsza klasa i trzymają się fest.

Jak my spowrotem jechali to jużeśmy na okręcie tylko stęchły ryż jedli (prowiantu nam nie dali) ale lepiej to smakowało. Drugi nas się okręt przez megafon pyta — nie macie czego do jedzenia — to my, że drożdże mamy — a oni się ucieszyli, mamy mąkę, dawajcie drożdży to wam mąki damy. I założyli my skrzynkę na linę na ich burtę zarzuconą — oni worek z mąką i tak w kółko ciągniem — tu mąka, tam drożdże. Kucharze mąkę złapali, całą noc chleb piekli, rano chleb był na śniadanie jak najlepsze kołacze.

Z powrotem to nas Fokker-Wolfy prowadziły no i submaryny nas atakowały. Jak my przyjechali do Szkocji — mówię ja do kolegi — dawaj z portu na dobrą kolację skoczymy — ale tu sanitarka już stoi, za kołnierz nas i do szpitala. W szpitalu gips mi z ręki zdejmują. Anglik się dziwi, kto tak gips zakłada — dwie godziny zbijali — ręka pod gipsem całkiem skręcona i z rany już nie ropa a smoła cieknie. Jeszcze dwa dni znów by gangrena przyszła.

Idziem potem z kolegą na stacji w Edynburgu — dwóch naszych żołnierzy idzie — kapral i sierżant — kapral powiada — patrz, ci pewnie z Garlanda — a sierżant — e, pewnie się gdzieś sukinsyny po pijanemu pobili — jak mnie krew zalała — jak tą zdrową lewą ręką fangę mu w zęby dałem, na gębę upadł i ani się podniósł. A kapral ani go ratuje tylko do mnie podchodzi i pyta — to panowie z Garlanda? A z Garlanda — powiadam.

EUGENIUSZ CĘKALSKI
(„NOWA POLSKA" 6/42)

DZIWNA PODCHORĄŻÓWKA

Przed półtora rokiem jechałem z Mersyny — portu tureckiego — na Cypr. „Warszawa", poczciwy gruchot, pod polską banderą, spoczywający obecnie na dnie morza, przypominała pudełko od sardynek. W tym tłoku i w ciemności usłyszałem ponad swoją głową budzący szacunek bas:

— „Dzień dobry wuju!"

— „Dzień dobry siostrzeńcze — odpowiedziałem w ciemność bez chwili wahania, pomny na Zagłobową z Rochem eksperiencję — jakim klejnotom Waszmość się pieczętuje?"

Okazało się, że najtymsamszym. Chłopak zwiał przez granicę węgierską.

— Moja krew, jak Boga kocham — powiadam — bo sam wiałem w wodzie po pas przez rumuńską. A jak cię tam Węgry przyjęli?"

— Dobrze. Krzyczeli e l j e n i poczęstowali winem, a potem odstawili z powrotem do granicy. — A wy?...

— Przesiedzieliśmy pod krzakiem, wróciliśmy i znów nas złapali i odstawili na ten sam posterunek.

Okazało się, że następnie jeszcze raz złapali.

— A jak was po raz trzeci przyprowadzili, to też winem poczęstowali? Nie, wuju, — huczy z rozbrajającą szczerością bas — wtedy po mordzie dali.

Minęło półtora roku. Słyszałem, że służy w ppancach, że pod Gazalą nie przyniósł klejnotowi wstydu. Aż wreszcie pewnego dnia wylądował w moim pokoiku w Tel-Avivie.

— Bój się Boga, chłopie, przecie przepustki do Tel-Avivu wstrzymane?

— My wszyscy bierzemy przepustki do Ramat-Gan, najbliższej miejscowości i komendant szkoły stale pyta przy raporcie: — Co wyście wszyscy do tego Ramat-Gan upatrzyli? Nic, tylko wszystko pcha się do tej dziury.

— Czekaj, czekajno — jakiej szkoły?

Okazało się, że jest w podchorążówce, że zaprasza mnie na uroczystość jej zakończenia.

Szkoła leży gdzieś na południu — w pustyni jak się patrzy. Kędy wyły szakale a przed dwudziestu pięciu laty szyki Allenby'ego — sztandar polski na maszcie przy biało-czerwonej barierce kanarek jak się patrzy i szeregi brązowych namiotów wrosłych w ziemię.

Zajechałem na samą mszę, ale nie po kazaniu dziekana ks. Brandysa. Gen. Kopański przemówił krótko: „Dziś otrzymujecie formalne prawo dowodzenia; faktyczne — niejeden z was uzyskał już wcześniej w boju... Nie bądźcie demagogami w stosunku do podwładnych i przypochlebcami w stosunku do przełożonych. Charakter, wola, uczciwość — to są składniki honoru".

Chrzęstnęła prezentowana broń. Warunki zewnętrzne nowe, treść — taż sama od czasów Szkoły Rycerskiej i jej „katechizmu moralnego".

Po obiedzie, podczas którego — jakiś rzeźki styl tu się poczyna tworzyć — nie było żadnych toastów, idę do namiotu mego nowoodnalezionego siostrzeńca. I kiedy siedzimy w przewiewnym angielskim namiocie o podwójnym dachu, poczyna się schodzić bractwo z różnych kątów. Dziwna to podchorążówka! Elewi od 18 lat, zaraz po ukończeniu Tel-Avivskiego, polskiego gimnazjum, aż do lat czterdziestu. Przygnani tak różnymi losami, jak w ogóle cała Brygada Karpacka:

„Myśmy tutaj szli z Narviku,
My przez Węgry, a my z Czech,
Nas tu z Syrii jest bez liku,
A nas z Niemiec zwiało trzech.
My przez morza, a my z Flandrii.
My górami, my przez las.
Potem wszyscy w Aleksandrii.
Teraz wszyscy my już wraz!"

I rzeczywiście koło mnie siedzą — dumni jak gile — dwaj bracia z czerwonymi szewronami otrzymanymi za kampanię norweską (Ksawery jest przelotem z Rosji).

Dziwnych to podchorążaków wydała ta najdziwniejsza z Brygad. Docentów, redaktorów, malarzy, radców, adwokatów, działaczy społecznych. A przytem — takich co odbyli piękny okres rekrucki: 18 miesięcy w piaskach Egiptu i Libii i w walkach.

Cóż dziwnego, że bractwu nie smakowało „padnij — powstań". Podchorążacy z podchorążówek w Polsce opowiadają im o czołganiu się w tłustej glebie polskiej przy mżącym kapuśniaku, o błocie lejącym się przez wszystkie dwanaście lat butów ćwiczebnych, kpią z fochów, że na ćwiczenia trzeba brać maskę ćwiczebną, podczas kiedy oni nosili w swym plecaku „cały magazyn, zacząwszy od butów, munduru sukiennego, płaszcza, bielizny, a skończywszy na owej przysłowiowej buławie marszałkowskiej, jakim był kij do czyszczenia komory nabojowej w karabinie" (jednodniówki podchorążych).

Dowództwo także rozumiało, że czasy się zmieniły, że przyszły inne wymogi. Komendant szkoły podchorążych, ppłk. dypl. Z. we wstępie do jednodniówki pisze: „Na te skrupuły odpowiadaliśmy sobie: trudno, bę-

dziemy uczyć tego, co sami umiemy, przekazując jak najstaranniej to, co zdobyliśmy wieloletnią pracą i doświadczeniem".

Jasna rzecz, że z takim bractwem nie ława była sprawa:

— „Dowódca plutonu powiedział, że chodzę na zgiętych kolanach" — burzy się 35-letni, doskonale zresztą wysportowany dziennikarz, który służył w artylerii plot. w czasie oblężenia Warszawy i został odznaczony w Libii — „jeśli nawet chodzę, to chodzę tak 35 lat i na zgiętych kolanach przebrnąłem trudniejsze odcinki życiowe, niż ta podchorążówka".

Tak oto sobie gawędzimy w namiocie na sjeście poobiedniej. Z pod użyczonego mi tapczana sterczy plecak z napisem: „odesłać na Śląsk, Bielszowice, ulica i numer. Jakiś optymista tu sypiał. Po ścianie namiotu tańczy cień czupryny podchorążaka, który przyjechał z Mandżurii. Oblatane bractwo!...

Czas iść na występ rewii zaimprowizowanej przez podchorążaków. Rewia „lege artis" z konferansjerką i wszystkim co trzeba. Uradzono pierwszą część zrobić poważną, a drugą — na wesoło.

Rewię rozpoczął chór odśpiewaniem „Marsza Podchorążych", słowa Jana Bielatowicza, muzyka W. Sandelewskiego:

Na ostrzach naszych bagnetów,
Niesiemy hasło odwetu!
O Polsko, my dzieci Twoje.
Przez krew, przez trudy i boje.
Wrócim — zwycięska armada —
Marsz, nasza Karpacka Brygada".

Następnie „Na falach polskiego Radia" zademonstrowano rozgłośnie krakowską, śląską, lwowską, warszawską — z urwanym sygnałem mariackim, z hasłami tych rozgłośni. Słońce zachodziło. Naokoło siedzącej na ławach publiczności, za jej plecami, kręgiem się ustawiły ciężarowce, które zwiozły żołnierzy z sąsiednich campów. Cicho było jak makiem zasiał. Cicho było przy wierszu Bogusławskiego „Do mego syna" i mnie się zrobiło ckno jakem sobie przypomniał, że było mi danem pierwszemu zawiadomić ojca, że Andrzej nie żyje.

Ale potem już zaraz pilno było do kawałów. Więc na temat „Myśmy już skończyli was się nie boimy" — szereg kupletów na komendę obozu, na oficerów-wykładowców. Pantonima, parodiująca gimnastykę, scenka arabska z Aleksandrii, na którą przebrani za Arabów podchorążacy zajechali osiołkiem.

Po zakończeniu wystąpił e x a b r u p t o zorganizowany chór na ciężarowcach, który wcale udatnie odśpiewał: „Oj będziemy bili za głupie kawały!..."

Zamiast bicia jednak był doskonały bigos, sterty winogron i wino.

Późnym wieczorem wracałem na „kwisz" (szosę) do auta.

— W pysku jesteście mocni, chłopaki — powiadam — ale i formalne rzeczy odwalacie z fasonem. Dziś na rewii odwalaliście „gęsi krok" jak stare grenadiery.

— A bo rewię przyjmował gen. Kopański, tośmy się zmówili, że będziemy podnosić „nóżkę" o 20 cm. wyżej. Jest to „krok Kopańskiego" i tylko on ma do niego prawo.

Kiedy znalazłem się w aucie, o nozdrza uderzył zaduch pierwszego mijanego arabskiego osiedla, a szakale poczęły swoje wycia — przypomniałem, że jestem na obczyźnie. Siedzący obok mnie starszy pan gorszył się, że program był zbyt mało poważny i że „w takiej chwili..."

— Wie pan co, panie prezesie — powiedziałem — przypominam sobie, że w 1918 r. przyjechała do nas na front dobroczynna paniusia z darami i dobrymi słowami. Darów było mało, a słów dużo. Jasio W., saper, — wybuchowiec, który w braku lontu wysadził minę przed zbliżającą się pancerką bolszewicką, przyniósłszy w nagiej dłoni głownię z pieca w budce dróżnika i dotrwał w wachlarzu kul z maszynek bolszewickich, a potem nowoczesny Scaevola, trzy miesiące leczył w szpitalu zwęgloną rękę, Jasio W., cwaniak pozatem i ander warszawski, kiedy paniusia go spytała, czy „kocha Polskę", przymrużył oko porozumiewawczo, udał, że coś sobie przypomina, a potem zapytał: „To ta obojętna blondynka"?

Prezes sapnął i zamilkł. A ja myślałem, że ci chłopcy ze stażem jak rzadko, z odznakami bojowymi, otrzymują stopień „kaprala tytularnego" bo narazie nie będą otrzymywali związanego z tym żołdu. Łatwiej już otrzymać stopień kaprala z pełną gażą „pestce" (oddziały pomocnicze kobiece), którą biorą na stenotypistkę.

Ale czy to wszystko ważne? „Obojętna Blondynka" gdzieś za morzami, a Brygada odbijając „krok Kopańskiego" śpiewa:

Maszeruje Brygada, maszeruje,
Maszeruje co tchu, co tchu.
Bo zdaleka jej Polska wypatruje.
Wyczekuje dzień po dniu.

MELCHIOR WAŃKOWICZ
(„Polska Walcząca")

TU MÓWI LONDYN...

Radio londyńskie stało się dla Polaków żywym symbolem walki z najeźdźcą. To coś więcej, daleko więcej, aniżeli rozgłośnia radiowa. W chwilach krytycznych, poprzez fale eteru szły do nas już nie słowa, ale ostatnie iskierki nadziei".

Każdy, kto choć raz słuchał polskich audycyj B. B. C., do końca życia pamiętać będzie napewno najsubtelniejszy odcień głosu spaekera, zapowiadającego: — Hallo, hallo, — tu mówi Londyn. To pozostanie na zawsze.

O tym, jak pracuje polski dział Radia Brytyjskiego, opowiada nam Anglik, jego kierownik:

Jestem oddawna szczerym przyjacielem Polski, a obecnie pracuję jako redaktor polskiego działu Radia Brytyjskiego, które z Londynu do Waszego kraju nadaje wiadomości o wojnie. Pozwolę sobie dać Wam pokrótce obraz naszej pracy.

Wyobraźcie więc sobie gwarne biuro redakcyjne w jednym z ośrodków radiowych gdzieś w Anglii. Ściany pokoju pokryte są mapami Polski i świata. Na jednej ze ścian wisi barwny afisz; na nim sztandar polski postrzępiony i poryty kulami. Na innej orzeł polski, nad nim krzyż. Na półkach leżą dzienniki i czasopisma polskie i angielskie, nadesłane ze wszystkich stron świata. Co kilka minut goniec przynosi ostatnie wiadomości. Redaktorzy przy pomocy maszynistek opracowują biuletyny. W sąsiednim pokoju moi polscy współpracownicy, speakerzy i ich sekretarze redagują w języku polskim otrzymane wiadomości.

Telefon dzwoni co chwila, polscy żołnierze, marynarze i lotnicy przychodzą, by omówić przyszłe programy radiowe, a w godzinach porannych redaktorzy Radia Polskiego pracują nad specjalnymi biuletynami, nadawanymi przez Rząd Polski.

My, Anglicy, jesteśmy dumni, że praca Radia Polskiego prowadzona jest z naszych rozgłośni do czasu, gdy nadejdzie godzina wyzwolenia. Wówczas znowu Polska przemawiać będzie do świata z własnej ziemi we własnym języku, a my, tu w Londynie z radością będziemy słuchać tego głosu. Jestem w stałym kontakcie z pewnym budynkiem w Londynie, w którym mieści się Sekcja Radiowa Polskiego Ministerstwa Informacji, które nie tylko dostarcza biuletyny dzienne dla Radia Polskiego, lecz również dostarcza mi dla moich własnych biuletynów wiele cennych wiadomości z Kraju. Wiadomości te przychodzą, jak nam wiadomo, Waszymi zakonspirowanymi drogami. W ten sposób Wy w Polsce jesteście współpracownikami naszych biuletynów.

Otrzymuję również wiadomości od Polaków rozrzuconych po świecie, lecz nie zachwianych w swym męstwie i walce; od Polaków w Egipcie, Palestynie i Persji, Polaków w Rosji, w Indiach, w Afryce Południowej i Południowej Ameryce, w Ameryce Północnej, od Polaków służących w Armii, Lotnictwie i Marynarce Stanów Zjednoczonych.

Wszystkie biuletyny są kierowane przede wszystkim do Was w Kraju. Wy jesteście przednimi strażami Wojsk Polskich, które Ojczyźnie przywrócą wolność. Wy też jesteście najbardziej odosobnieni.

Równocześnie też pamiętać muszę o innych słuchaczach polskich, spragnionych wiadomości. Muszę pamiętać o żołnierzach i lotnikach polskich w Wielkiej Brytanii, i na Środkowym Wschodzie, o marynarzach polskich na samotnym patrolu lub w niebezpiecznym konwoju. Muszę pamiętać o Polakach internowanych w Szwajcarii, zamieszkałych we Francji, Szwecji i Portugalii. Nie zapominam też o Polakach wywiezionych do Rzeszy.

Wiem o wspaniałym bohaterstwie i poświęceniu tych wszystkich w Polsce, którzy słuchają głosu wolnego świata i rozpowszechniają zdobyte wiadomości wśród swoich towarzyszów niewoli. Ale wiem również i jest to dla nas wszystkich zachętą, że Niemcy są zdumieni i rozwścieczeni powodzeniem, jakie już osiągnęliście.

Czasami, gdy siedzę u siebie w biurze, trafiające do mnie podziemna gazeta lub raport poufny, jeszcze raz potwierdzają, że wiadomości z Londynu odebrane zostały w Polsce i, że zostały wśród Polaków rozpowszechnione. Wtedy wywieszam na naszej tablicy ogłoszeń wiadomość o nowym zwycięstwie z uczuciem, że dokonano czynu, który skróci Waszą niewolę, chociażby tylko o godzinę. Nieprzyjaciel ujarzmił Was zdradą i kłamstwem. My — prawdą przyspieszymy godzinę Waszego wyzwolenia.

„Zwiastu Zwycięstwa" nr 1.
(rozrzucany przez RAF)

———————

UCHODŹCY I INTERNOWANI

Polscy marynarze w Szwecji.

Na ogół mało słyszeliśmy o naszych marynarzach, którzy rzuceni wypadkami wojny do Szwecji trwają tam wiernie przy swoich okrętach podwodnych. Większość załóg w liczbie ok. 130 oficerów i marynarzy umieszczono w okolicy miasteczka Mariefrece, reszta przebywa w pobliżu miasta Falum.

Mały szwedzki garnizon wartowniczy ulokowany jest we dworze Marieland odległym o 2 km od miasta. Zaraz poniżej pięknego parku dworskiego przycumowane są do brzegu dwa stare statki mieszkalne, na których zakwaterowano polskie załogi i część polskich oficerów. Trzy polskie okręty podwodne są ukotwiczone przy małej wysepce położonej naprzeciwko, w nieznacznej odległości od brzegu.

Czym właściwie zajmują się Polacy w Szwecji? Mają oczywiście dużo roboty na zamieszkiwanych przez siebie statkach, jak również na swoich okrętach podwodnych. Muszą przy tym prać bieliznę i gotować sobie jedzenie. Ponadto wielu wzięło udział w robotach ziemnych i w lasach państwowych. Pracują — jak pisze szwedzki dziennikarz — energicznie, niezmordowanie i z doskonałym wynikiem. Zarabiają przy tym tyle, ile robotnicy szwedzcy. A ponieważ nie mają wydatków związanych z utrzymaniem i mieszkaniem, bo o to dba państwo szwedzkie i otrzymują żołd odpowiadający szwedzkim stawkom wojskowym — stanowią wydatne wzmocnienie siły nabywczej małego miasteczka.

Stosunki między internowanymi a ludnością są nadzwyczaj serdeczne. W czasie Bożego Narodzenia zorganizowali nasi marynarze polskie jasełka. Powodzenie było tak wielkie, że przez cały styczeń tłumy publiczności ściągały do teatru, który zapełniony był po brzegi.

Polacy, którzy korzystają z dość dużej swobody -- pisze szwedzki dziennikarz — poruszania się, stali się bardzo popularni. Ludność miejscowa chwali sobie bardzo swoich gości. Ludzie to inteligentni, mili i ze wszech miar uprzejmi".

W gościnie u Szwajcarów.

Po poddaniu się Francji, pełna polska dywizja zmotoryzowana w sile ok. 12.000 przebiła się w kompletnym uzbrojeniu do granicy szwajcarskiej. Wkraczających Polaków powitał głównodowodzący armii szwajcarskiej i przyjął ostatnią przed rozbrojeniem defiladę. Z początku umieszczono internowanych w kilku wielkich obozach. Obecnie ulokowani są Polacy mniejszymi grupami, po 80 do 200 ludzi, w wielu miejscowościach m. in. w Münchenbüchsee, Fehraltorf, Hochentaunen, Zugerberg, Pfaeffikon i Gebenstorf. Pod komendą polskich oficerów i podoficerów żołnierze nasi meliorują bagna, karczują lasy, obsiewają nieużytki. Słowem, starają się odwdzięczyć Szwajcarom za gościnę i skrócić czas rozłąki z krajem. Swobodę mają zupełną i po wykonaniu prac mogą odwiedziać ludność szwajcarską, organizować swoje życie kulturalne, zbierać się w świetlicach, uczyć się, uprawiać sporty. Wydają swoje pismo „Goniec obozowy". Jest to tygodnik rozchodzący się w ilości ok. 10.000 egzemplarzy, bardzo żywo redagowany, w znakomitej szacie graficznej.

Stosunki z ludnością z punktu ułożyły się doskonale, flegmatyczni Szwajcarzy pokochali Polaków za ich szybkość w pracy, wesołość i grzeczność. W tygodniku kobiecym „Schweitzer Frauenblatt", podając kilka anegdotek z życia Polaków, autorka zwróciła żartobliwie uwagę, że Polacy: „przecież słyną ze swej uprzejmości, co przez część naszych mężczyzn jest im brane bardzo za złe, jako objaw — jak to oni przynajmniej rozumieją — nieuczciwej konkurencji".

Nie zapominają też nasi żołnierze o swych towarzyszach broni, przebywających w niemieckich oflagach. Za pośrednictwem szwajcarskiego komitetu pomocy jeńcom polskim w Niemczech, ze swych skromnych zarobków przesyłają paczki z żywnością. Czynne są też trzy wyższe uczelnie polskie: Kurs Politechniczny, Wyższe Kursy Handlowe i Kursy Prawnicze.

Na wyspie brytyjskiej.

Wielka Brytania stała się po zakończeniu kampanii francuskiej centrum życia polskiej emigracji. Ze wszystkich stron, okólnymi drogami, po pokonaniu niebezpieczeństw i trudów, zjeżdżali Polacy na ziemię brytyjską. Dziś wszyscy pełnią służbę wojskową lub pracują nad organizacją polskiego życia. Poza wojskiem dziesiątki organizacyj polskich pełni swą służbę dla kraju. Organizacje te nie tylko pracują nad sprawami bieżącymi, lecz przede wszystkim zajmują się fachowym przygotowaniem projektów dotyczących wszelkich dziedzin życia polskiego w okresie przełomowym i po wojnie. Najliczniejszą z organizacyj jest Stowarzyszenie Techników Polskich, liczące bez ma-

ła 2.000 członków. Równie ruchliwe jest Stowarzyszenie Ekonomistów, poza tym z organizacyj zawodowych istnieją: Zrzeszenie Sędziów i Prokuratorów, Stowarzyszenie Prawników, Stowarzyszenie Kobiet z Wyższym Wykształceniem, Stowarzyszenie Architektów, Zrzeszenie Nauczycieli, Towarzystwo Naukowe Lekarzy, Tymczasowy Komitet Studentów, Związek Dziennikarzy, Związek Plastyków, Związek Artystów-Muzyków, Związek Rzemieślników i Robotników, Związek Marynarzy, Związek Oficerów i Armatorów Marynarki Handlowej.

Towarzystwa te skupiają gros życia w Wielkiej Brytanii. Dużą też rolę odgrywają, jako czynniki zbliżenia polsko-brytyjskiego. Szczególnie silnie zaznacza się współpraca polsko-brytyjska w dziedzinie naukowej i kulturalnej. Drugim typem organizacyj równie silnie pracujących są koła regionalne, a więc: Koło Ślązaków Cieszyńskich, Koło Ślązaków, Koło Kresów Wschodnich i Południowo-wschodnich, wreszcie Koło Wielkopolan i Pomorzan. Żydzi z Polski zorganizowani są w: Radzie Żydów Polskich, Federacji Żydów Polskich, Stowarzyszeniu Żydów Obywateli Polskich, i Polsko-Żydowskim Komitecie Uchodźczym.

Szkolnictwo polskie, obsadzone polskimi siłami naukowymi, ma olbrzymią rolę do spełnienia. Nie tylko bowiem zorganizowano szkoły powszechne, istnieje cała masa kursów dla dorosłych, szczególnie silnie rozwinął się pęd do nauki w wojsku. Młodzież polska uczęszcza przeważnie do szkół angielskich, uzupełniając to wykształcenie lekcjami: polskiego, historii polskiej i w tym celu wydano specjalne podręczniki. Szkoły wyższe istnieją dwie: Polski Wydział Lekarski przy uniwersytecie w Edynburgu i Polska Szkoła Architektury przy niwersytecie w Liverpoolu.

Poza tym otwarta została Szkoła Morska dla oficerów pokładowych i cały szereg kursów specjalnych z dziedziny żeglugi, jak kurs dla szyprów, maszynistów, radio-telegrafistów, mechaników II klasy itp.

Z opieką i pomocą emigracji i Armii polskiej na całym świecie przychodzą instytucje: Polskiego Czerwonego Krzyża, Polskiej Y. M. C. A. i Klub Polski. Opieka lekarska zorganizowana jest przez Przychodnie Lekarskie P. C. K., szpitale dla cywilnych i wojskowe.

Jak z tego pobieżnego zestawienia widać, emigracja polska potrafiła na terenie W. Brytanii zorganizować swe życie w doskonałych formach. Wszyscy przyznają, że jest ona najbardziej aktywna i najlepiej zorganizowana. W porównaniu z innymi emigracjami, poziom życia polskiego jest bardzo wysoki, a obcy starają się podnieść swoje życie organizacyjne, wzorując się na polskim.

Jednocześnie Polacy potrafili najlepiej zorganizować stosunki z brytyjczykami. Szczególnie serdecznie odnieśli się do Polaków Szkoci, najwięcej jest też stowarzyszeń i klubów polsko-szkockich. Współżycie polsko-angielskie organizuje towarzystwo polsko-angielskie. Bardzo duży jest też udział Polaków w życiu kulturalnym W. Brytanii. Nasi uczeni i artyści cieszą się dużą sławą i popularnością. Dzięki więc wojsku i tak szerokiemu udziałowi Polaków we wszystkich dziedzinach życia, emigrant polski nie jest jakimś wykolejonym tułaczem, nie otacza go atmosfera zdawkowej litości, lecz życzliwość i szacunek. Na to traktowanie Polaków, a przez nich i sprawy polskiej zasłużył cały ogół emigracyjny, zdający sobie świadomość z tego, że każdy Polak na obczyźnie reprezentuje Polskę, każdy jest ambasadorem polskiej sprawy. Nie ma żołnierza, który by z zaoszczędzonych pieniędzy nie nabywał książek wydanych w angielskim języku o Polsce, po to, by ofiarować je Anglikom czy Szkotom. To sprawia, że egzotyczna, daleka i obca dotąd Polska stała się dla Brytyjczyków krajem bliskim. Krajem o dużej wartości i dużej przyszłości. Działalność emigracji polskiej i wojska wprowadziła zupełny przewrót w stosunkach polsko-brytyjskich. Zdobyliśmy całe rzesze gorących sympatyków. I nie tylko to. Stworzone zostały podwaliny pod przyszłą rozbudowę przyjaznych stosunków, opartą na wzajemnym szacunku, zaufaniu i wspólnej chęci stworzenia lepszego jutra.

W skalistym Iranie.

Zesłańcy polscy w Rosji zostali natychmiast po uwolnieniu przetransportowani do Iranu. Tam rozpoczął się dla nich powrót do życia. Wynędzniała, obdarta, głodna masa ludzka zaczęła się dzięki energicznej pomocy polskiego komitetu, przeradzać w dobrze zorganizowane środowisko emigracyjne. Wydawana w Jerozolimie „Gazeta Polska" tak opisuje życie Polaków w Teheranie:

Pierwszorzędne wrażenie wywiera na cudzoziemcu nowoczesny hotel „Firdusi", nazwany imieniem najsławniejszego poety perskiego. Zarówno w hotelu, jak w restauracji hotelowej — służba polska, która to przedsiębiorstwo, jak i wiele innych, zeuropeizowała i podniosła znacznie frekwencję publiczności, szczególnie angielskiej.

Większość tej służby to maturzystki polskie, które egzamin dojrzałości złożyły w

Wilnie w okresie okupacji sowieckiej. I w innych zakładach gastronomicznych i przedsiębiorstwach pracują świeżo zaangażowani Polacy i na ich plus zapisać należy, że od czasu podjęcia przez nich powierzonych prac jakiś nowy duch wstąpił w progi tych przedsiębiorstw, co zresztą przyznają sami Persowie. Słowem — Polacy wnieśli dużo życia i swoim zapałem do pracy imponują nie tylko gospodarzom, ale i każdemu cudzoziemcowi, a przewyższyli też napewno, pod względem gorliwości i szczerego zapału do pracy inicjatywę i pęd do życia w którymkolwiek innym polskim ośrodku uchodźczym.

Między obozami polskimi a Teheranem kursują polskie autobusy. Linie autobusowe założył inż. Stefan Tyszkiewicz, który dysponuje 800 samochodami. Część wozów została zakupiona na miejscu, część zaś składa się z taboru, udzielonego Polakom przez rząd amerykański. 800 wozów — to pozycja poważna, tym bardziej, że tabor jest pierwszorzędny.

W 5 obozach pod Teheranem przebywało około 23.000 osób, w tym olbrzymia większość kobiet i dzieci. Dla Polaków przeznaczone były jako obozy budynki fabryczne i namioty, m. in. dawna fabryka karabinów maszynowych.

Zasada obowiązująca każdego uchodźcę — to obowiązek pracy. Zresztą uchodźcy ci, którzy mają za sobą przeżycia zesłania, nie wyobrażają sobie innego sposobu spędzenia czasu. Ci, którzy jeszcze zajęć stałych nie znaleźli — pracują na miejscu. Każdy dostaje jakiś odcinek pracy, składający się w sumie na całość zagadnień codziennego życia obozowego. Uchodźcy żadnych zasiłków, prócz małej kwoty na drobne wydatki nie otrzymują. Śpią w obozach na ziemi, łóżek nie ma. Każdy ma koc, na którym w nocy leży. Powoli przyzwyczajają się do klimatu. Przybyli z okolic, gdzie mróz dochodził do 60 st., a w Teheranie upały w miesiącach letnich dochodzą również do 60 st. Odżywianie wzorowane jest na racjach wojskowych.

Pierwsza akcja szła w kierunku sanitarnym. Przeprowadzono odwszenie. W obozach panowała epidemia tyfusu plamistego, dezynteria i odra u dzieci. Śmiertelność początkowo była bardzo duża, wiele osób po wyczerpaniu — gdy przyszło odprężenie nerwowe — umierało. Obecnie epidemie zostały opanowane.

Uchodźcy mają tam również sierociniec dla kilkuset dzieci. Specjalnie się je odżywia. W ogóle nad dziećmi roztoczona jest szczególnie czuła opieka. Poza tym na miejscu powstało samorzutnie 15 szkół polskich. Dzieci uczą się bez książek, których narazie brak, ale jakże, pilnie się uczą! Mają tylko zeszyty. Szkoła mieści się w wielkiej hali fabrycznej. Dzieci siedzą na cegłach, rozłożonych dokoła dużej przestrzeni hali".

„Ta 11-tysięczna rzesza uchodźcza, która przybyła do Iranu, to kropla w morzu w porównaniu z tym, co zostało w Rosji. Jak długo ludzie siedzieli tam na miejscu i żyli z tego, co otrzymywali w kołchozach, miejscach pracy itp. — wytrzymywali i czekali. Gdy jednak nadeszła wieść o układzie polsko-sowieckim, tysiące nie wytrwały i ruszyły na własną rękę. Te masy wyginęły".

Dzieci polskie w Indiach angielskich.

Część dzieci polskich (około 1.000), przeważnie sierot, zebranych po rosyjskich „pryjutach", po chwilowym pobycie w Persji, wysłano do Indyj Angielskich. Dzieci wyjechały pod opieką znanej aktorki Hanki Ordonówny i przebywają w księstwie Newemagar. Ulokowano je w specjalnych zakładach, zapewniając dobre warunki. Dla starszych dzieci zorganizowano powszechne nauczanie.

Poza tym organizowane są polskie ośrodki harcerskie.

Uchodźców dorosłych jest w Indiach 350.

Emigracja w Palestynie.

Poza kilkudziesięciu wyższymi urzędnikami dawnego rządu polskiego, przebywa w Palestynie dużo młodzieży polskiej. Nadający się do służby wojskowej, wstąpili do polskiej szkoły podchorążych. W Tel-Aviv istnieje gimnazjum polskie. W Jerozolimie odbył się niedawno harcerski zjazd instruktorski. Pismem Polaków jest „Gazeta Polska", wychodząca w Jerozolimie.

Szkolą się w Kanadzie.

W Kanadyjskich szkołach pilotażu szkolą się Polacy z Ameryki. Zostali oni niezwykle serdecznie przyjęci przez dowódców szkoły jak i kolegów ze względu na sławę, jaką cieszy się tam polskie lotnictwo.

„Gazeta Polska", organ Polaków kanadyjskich zamieszcza cały szereg zdjęć, przedstawiających szkolenie młodych polskich pilotów.

W U. S. A.

W Stanach Zjednoczonych przebywa bardzo mało uchodźców polskich. Są to przeważnie ludzie starsi, wielu z nich, — to wybitni uczeni, współpracują z naukowymi instytucjami amerykańskimi. Radiostacje a-

merykańskie, nadające specjalne audycje o sprawach polskich korzystają również ze współpracy polskich uchodźców.

Polonia amerykańska, reprezentowana w Kongresie przez 12 posłów pochodzenia polskiego jest orędowniczką sprawy polskiej w U. S. A. Uaktywnienie się Amerykan polskiego pochodzenia, które ostatnio nastąpiło, przyczynia się w wielkim stopniu do dalszego pogłębienia współpracy polsko-amerykańskiej.

Afryka Wschodnia.

W Afryce Wschodniej, Tanganyice i Ugandzie, dzięki poparciu rządu W. Brytanii osiedlono ok. 10.000 polskich kobiet i dzieci w obozach. Kobiety otrzymały zatrudnienie. Dla dzieci Rząd Polski zorganizował kilka szkół, sierocińców i zapewnił im opiekę lekarską.

Polacy sami organizują swoje życie społeczne i kulturalne. Każde polskie osiedle dzieli się na grupy i sekcje. Grupy liczą od 400 do 550 osób, a sekcje od 100 do 135. Każdy zdolny do pracy uchodźca obowiązany jest pracować 3 godziny dziennie dla potrzeb osiedla, jako ekwiwalent za wyżywienie.

Poza uprawą pszenicy uchodźcy zajmują się warzywnictwem, hodowlą bydła, mleczarstwem i tkactwem.

W Kidugala koło Njombe osiedle polskie zorganizowano w siedzibie niemieckiej misji luterańskiej, która zajmowała się szerzeniem kultu Hitlera wśród murzynów. Anglicy oddając Polakom to pięknie zagospodarowane osiedle, mówili, że jest to narazie pierwsze odszkodowanie otrzymane przez nas od Niemców. Osiedle to posiada m. in. śliczny park i nadaje się na uzdrowisko. Klimat przypomina zupełnie Rabkę.

Rosja.

Największym ośrodkiem emigracji polskiej jest Rosja. Przebywa w niej dotąd ok. miliona Polaków przymusowo wysiedlonych z Ziem Wschodnich. W pierwszej fazie stosunków polsko-sowieckich, masom tym przyszła z pomocą ambasada polska i Polskie Komitety Uchodźcze. Obecnie rząd bolszewicki zlikwidował wszelką pomoc, a Polakom nadał przymusowo obywatelstwo sowieckie.

PRZEGLĄD PRASY EMIGRACYJNEJ

„Jutro Polski", dwutygodnik, redagowany przez St. Grabskiego, pisze w artykule p. t. „Oblicze przyszłej Polski":

> Druga wojna światowa wywrze niewątpliwie głębszy wpływ na ustrój społeczno-polityczny państw oraz na samą strukturę wspólnoty międzynarodowej, niż pierwsza. Powtórzenie się kataklizmu dziejowego w 25 lat po wybuchu pierwszego było dowodem, że zmiany, dokonane po 1918 r. były niewystarczające, że raczej były formalne, ba — częściowo nawet pozorne. Obecny kryzys światowy przybrał takie rozmiary, że istotna, do głębi sięgająca reforma jest niezbędna, jeśli nie ma się mieć ku końcowi współczesnego świata.

Przyszła Polska — według autora artykułu — nie może więc też w żadnej dziedzinie wracać do Polski z września 1939 r. jak i nie może nawiązywać bezkrytycznie do okresu przedmajowego. Konieczna jest odbudowa państwa na zasadach narodowych, bez miejsca na egoizm stanowy, klasowy, partyjny, koteryjny, czy egoizm jednostek.

„Polska Walcząca", pismo żołnierza polskiego na obczyźnie, porusza w artykule wstępnym zagadnienie przyznania Polsce kolonii, cytując przy tym głosy angielskie w tej sprawie.

Prasa brytyjska — pisze Polska Walcząca — ostatnio w związku z uroczystym posiedzeniem Royal Geographical Society ku czci Strzeleckiego, pisała dużo o odkryciach i zasługach polskiego podróżnika i odkrywcy nieznanych części Australii i Tasmanii, odkrywcy góry Kościuszki i kopalń złota, a „The Times Literary Supplement", wychodzący w Londynie, pisze:

> „...w imieniu tego dzielnego podróżnika i odkrywcy chyba nie powinno być trudno upomnieć się w przyszłości o zasłużony teren zamorski dla polskiej emigracji, jak też i o przydział surowców potrzebnych do powojennej odbudowy Polski".

Dalej cytuje pismo opinię prof. uniwersytetu w Londynie, A. Rose'go, który jest zdania, że głos Polski, domagającej się kolonii powinien być wysłuchany.

„Zielony Sztandar", organ Stronnictwa Ludowego, domaga się przerwania milczenia dokoła sprawy federacji środkowo-europejskiej. Zwalczając argumenty, odwlekające dyskusję nad tą sprawą, „Zielony Sztandar" kończy artykuł słowami:

Spisek milczenia minął, o federacji można mówić bez obawy, że mogłaby zaszkodzić faktycznie, co więcej, trzeba o nią wołać jak najszerzej, by czas, co pozostał, zużytkować na przygotowanie tej tak doniosłej w dziejach przemiany i odrobić „taktyczne milczenie".

„Robotnik Polski", organ PPS w W. Brytanii w ostry sposób rozprawia się z prowokacyjnymi komunikatami osławionej radiówki moskiewskiej, działającej pod nazwą „Kościuszko". „Robotnik" zapytuje słusznie bolszewików, dlaczego dopiero od połowy 1941 roku zobaczyli zbrodnie niemieckie, popełniane na Polakach. Po czym dodaje:

O formach walki z okupantem decydują wyłącznie Rząd Rzeczypospolitej i kierownicy duchu podziemnego, którzy wiedzą najlepiej, kiedy, gdzie i jak uderzyć. „Ręce z daleka — pisze „Robotnik" — nieproszoną „opiekę" wypraszamy sobie stanowczo".

„Skrzydła — Wiadomości ze Świata", ilustrowane pismo lotników polskich, omawiając przebieg i smutne dla Niemców skutki ofensywy lotniczej na Anglię, podkreśla słusznie:

Dziś śmiało można powiedzieć, że polskie lotnictwo myśliwskie już od pierwszych dni swoich walk, wskazuje jasno i wyraźnie drogę; mówiono, że wroga należy bić, bić nieustannie, że walka jest jedyną drogą do zwycięstwa. Wymaga ona woli i ofiar, tych dwóch czynników, bez których zwycięstwo jest niemożliwe.

Trudno nam ze względów na brak miejsca cytować głosy całej prasy polskiej za granicą. W samej bowiem W. Brytanii wydają Polacy po polsku i angielsku 21 pism periodycznych, w tym jedno pismo codzienne: „Dziennik Polski". Jednak i ta garstka przytoczonych wyjątków wskazuje na szerokość i różnorodność zainteresowań publicystów polskich na obczyźnie. A ponieważ prasa jest niejako odzwierciedleniem życia ogółu, obfitość poruszanych i dyskutowanych zagadnień świadczy o dużym wyrobieniu społecznym całości naszej emigracji.



Sztandar ofiarowany przez Polki w kraju armii na obczyźnie

WARSZAWA, CZERWIEC 1943